



WIDNOKRAJ

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 28 (354)
14 lipca 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

- ◆ Nikt nie kwapi się odkrywać zabytków
- ◆ Plastycy i „mecenasi”
- ◆ Ulica śmieciarzy
- ◆ Architektura przywraca dar poezji
- ◆ Można dostać kota
- ◆ Reklama męskości
- ◆ Honor Polaków uratowany



Maria Cichorzewska — Drabik Rzym

**ROZMOWA O WIECZNYM
MIEŚCIE
Z KIEROWNIKIEM
PRACOWNI
KONSERWATORSKIEJ
W ŁAŃCUCIE
MGR MARIA
CICHORZEWSKĄ - DRABIK**

PYTANIE: Nie taka to zwykła rzecz przywracać pełnię urokiwiej młodości, czynić nieskończonym żywot dzieła sztuki. Wszystko to dzieje się za sprawą ludzi. Od dziesię-

ciu lat pracuje pani w Pracowni Konserwatorskiej w Łańcucie. Pasjonująca to świat, interesująca poczynania. Ale wiadomo mi, że ostatnio przebywała pani we Włoszech. Wrażenia z tego pobytu na pewno ukontentują naszych czytelników. Na początek propozycja — temat z własnego podwórka.

ODPOWIEDZ: Istotnie, przez 6 tygodni byłam stypendystką rządu włoskiego. To wysokie „C” oznacza

wniosek dyrekcji Muzeum łańcuckiego do Instytutu Konserwatorskiego w Rzymie plus dwa egzaminy, w moim przypadku z języka francuskiego. Wynik okazał się pozytywny. Otrzymałam 90 tys. lirów na koszty utrzymania, aby we Włoszech zapoznać się z metodami i opieką konserwatorską. Sześć tygodni to szmat czasu, a jednak o wiele za mało. Rzym, całe Włochy to jedno wielkie muzeum.

Konfrontacje zawsze stwarzają pewne niebezpieczeństwo skrzywienia faktów. Dlatego będę mówił o opiece konserwatorskiej we Włoszech bez kropki nad i. Istnieje pewna włoska specyfika. Np. muzeum we Włoszech to zamknięty teren jakiegoś zabytku jak „Forum Romanum”, „Coloseum” czy część odkopanej Pompei. Muzeum w naszym pojęciu nazywa się tu galeriami. W samym tylko Rzymie znajduje się 51 muzeów. Z tego tylko 16 państwowych. Pozostałe administrowane są przez samorządy miejskie, władze kościelne lub są własnością osób prywatnych. We Włoszech istnieje bowiem handel prywatny dziełami sztuki, nie kontrolowany przez państwo, a więc kto płaci, ten ma rację.

Z tym płaceniem jest gorzej. Dlatego nikt się tu nie kwapi „odkrywać” nowych obiektów zabytkowych. Pompea jest tylko w części odkopana.

Należy również wspomnieć o klimacie włoskim, który stwarza inne problemy konserwatorskie. Boski klimat który konserwuje kamień... trudno więc mówić o szkodliwym działaniu atmosferycznym.

Ta sytuacja zasadniczo rzuca na opiekę i metody prac konserwatorskich. Tak czy inaczej nie mamy czego się wstydić. Planowa organizacja prac konserwatorskich u nas jest dla Włochów przykładem. Nasi fachowcy nie gorszą od włoskich kolegów. Studia w Polsce trwają 6 lat,

istnieje specjalizacja. We Włoszech 4 lata, nikt się nie specjalizuje. Jednego możemy tylko Włochom pozazdrościć — to wyposażenia pracowni konserwatorskich w najnowocześniejszy sprzęt pomocniczy.

Jak już wspomniałam, kto płaci ten ma rację. Stwarza to pewne niebezpieczeństwo ulegania gustom pewnych mecenasów. Nie jest jednak tak źle. Brak przesadnego pietyzmu w stosunku do zabytków wychodzi im „na zdrowie”. Nikt tu nie preparuje dzieł sztuki i może dlatego żyją one całą pełnią swojej urody, wśród nowoczesnej architektury.

PYTANIE: W czasie swoich wędrowek zwiedzała pani wiele muzeów i galerii nie pomijając współczesnych. Na pewno też znalazł się powód do dyskusji z włoskimi kolegami. Może parę słów o sytuacji plastyków we Włoszech.

ODPOWIEDZ: Jest niewesoła. We Włoszech nie istnieje organizacja reprezentująca interesy plastyków, jak np. u nas Związek Polskich Artystów Plastyków. Malować, wystawiać i sprzedawać swoje obrazy może każdy, jeśli uważa, że musnęła go Muza. Rozbudowana jest natomiast instytucja mecenasów. Są to przeważnie handlarze dziełami sztuki, nierzadko właściciele galerii. Jeśli jakiś twórca staje się obiektem interesującym dla mecenasów... tzn. stwarza możliwości zarobków, ten go lansuje wystawiając jego prace w swojej galerii. Większość twórców skazanych jest na vegetację. Spotkania plastyków w kawiarniach mają przeważnie charakter towarzyski.

PYTANIE: Błaski Wiecznego Miasta, to nie tylko mowa kamieni. Wieczny Rzym — nie wątpię — jest piękny, ale chyba są i cienie?

ODPOWIEDZ: Rzym jest najpiękniejszym i najbrudniejszym miastem, jakie widziałam. Na ulicę rzuca się wszystko, przeczytaną gazetę,

pudło po telewizorze, skórkę ze zjedzonej pomarańczy. Pół biedy, gdy nie wieje wiatr. Wszystko dlatego, że „śmieciarze” też ludzie i muszą z czegoś żyć. Na swojej uliczce o ponurej scenerii z powieści Wiktora Hugo segregują śmieci Rzymu — „ludzie — sępy”, aby żyć? Nie czuje się na siłach odpowiedzieć nie! Może to kogoś zadziwi, ale centrum Rzymu to brud i nędza. Przedmieścia — to biel kamieni wśród bujnej zieleni, nowoczesna architektura ekskluzywnych willi, która przywraca wybrańcom dar poezji. Na zamkniętych dla zwykłych śmiertelników ulicach stwórca rozwiśla rozległy błękit horyzontu. Dzięki uprzejmości stróża czy portiera, który pilnuje tych szczęśliwych ulic, udało mi się przekroczyć rampę dzielącą ten świat od nędzy.

Często natomiast wędrowałam od zmierzchu po starych ruinach — muzeach. Od tego czasu nie lubię kotów. Trudno uwierzyć — dziesiątki i setki kotów okupuje muzea. Parszywe, zdziczałe, wygłodniałe, łaszczą się, ocierają o człowieka. Może żebrzą o odrobinę ludzkich uczuć, na które tu tak mało czasu. Można dostać „kota”.

PYTANIE: Mea culpa... Włoszki?

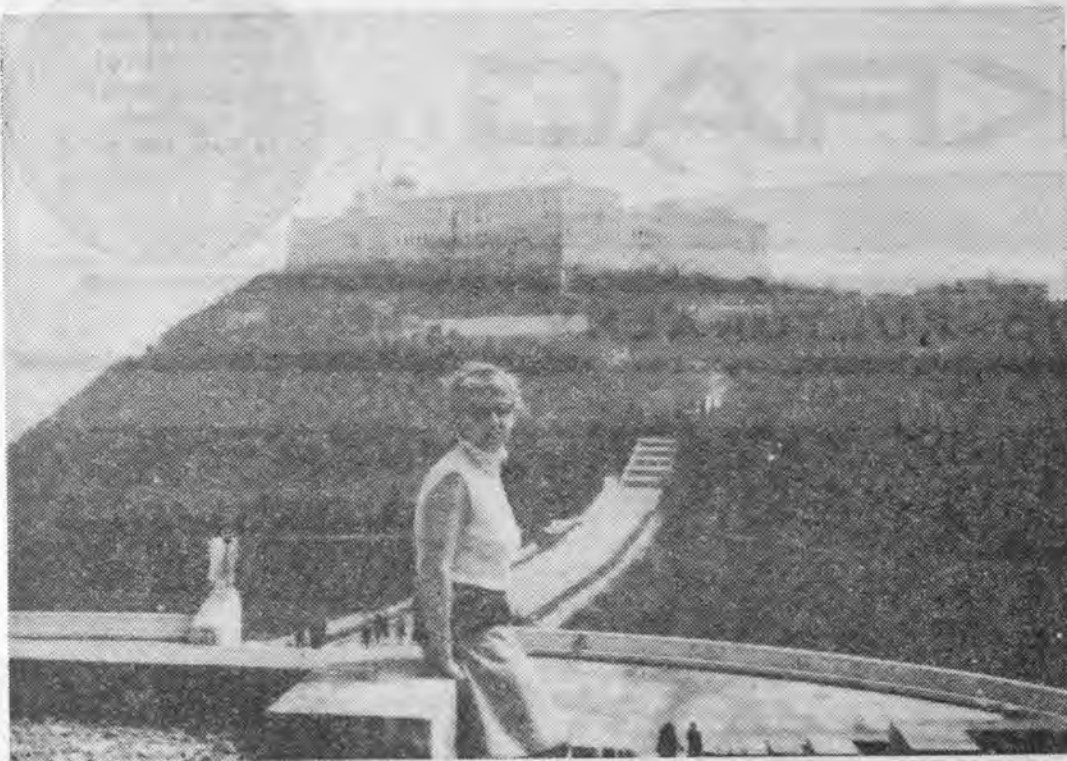
ODPOWIEDZ: Urocze w tym kraju pozorów, gdzie bigoteria i prostytutka chodzą w parze. Chyba nie zawiniły kobiety! Kobiety pracują tu tylko do zamążpójścia. Gdy byłam w Rzymie, wszystkie gazety rozpisywały się o kobiecie, która objęła stanowisko sędziego. Nie obeszło się bez kpiny i docinków pod adresem czarnogłowych. To dość wymownie oddaje pozycję kobiety we Włoszech. A cóż tu powiedzieć o kobiecie samotnej na ulicy. Jest to zwykły powód do niewybrednych zaczepek adoratorów, którzy w ten sposób reklamują swoją męskość, aby nie było wątpliwości... Tokujące-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Maria Cichorzewska-Drabik

Asyż



We Włoszech wszystkie drogi Polaków prowadzą do Monte-Cassino

O Wiecznym Mieście, rozmowa z kierownikiem Pracowni Konserwatorskiej w Łańcucie mgr Marią Cichorzewską-Drabik

(Ciąg dalszy ze str. 1)

go Casanovę można jedynie rozszedzić oświadczeniem — pan jest źle wychowany. Wtedy obrażony adorator wzywa na świadków wszystkich świętych i przodków. On wywodzący się ze znakomitego rodu został obrażony?

PYTANIE: Co mówią Włosi o nas?

ODPOWIEDZ: W Rzymie brano mnie za Skandynawkę, Niemkę, Szwajcarce, w najlepszym razie za Czeszkę. Nikt nie wpadł na to, że mogę być Polką. To było przykre, gdy dziwiono się „Polka”? Widocznie w Rzymie nie widzi się samotnych Polek. Bywało przyjemniej np. kiedy sekretarz Międzynarodowego

Instytutu Konserwatorskiego „Centro” powitał mnie czystą polszczyzną. Na drugi rok wybiera się do Polski. Raz to nawet radowało się serce. Profesor Instytutu Konserwatorskiego w Rzymie zaproponował mi wyjazd do odległego od Rzymu miasteczka. Kiedy oświadczyłam, że obawiam się tak dalekiej samotnej podróży, profesor z powątpieniem zareplikował:

— Pani się boi? Przecież Polacy niezgo się nie boją. To najdzielniejszy naród.

Cóż mi pozostało, honor Polaków rzecz święta.

PYTANIE: Liczne szkice pięknej architektury Rzymu i innych miast to dowód, że te 6 tygodni spędziła pani pracowicie. Zapewne nasi

czytelnicy będą mieli okazję oglądać w Domu Sztuki w Rzeszowie wystawę tych prac?

ODPOWIEDZ: — Istotnie przygotowuję wystawę swoich włoskich impresji. A ostatnio otrzymałam list Ambasady Polskiej w Rzymie z propozycją przygotowania wystawy w Rzymie swoich polskich prac.

Przy okazji chciałam gorąco podziękować pracownikom Ambasady, a szczególnie attache kulturalnemu Tadeuszowi Kuźmińskiemu za pomoc i troskliwą opiekę.

Sądzę, że będę wyrazicielem życzeń mieszkańców naszej ziemi — sukcesywnie artystycznych w Wiecznym Mieście!

Rozmawiała: E. GAJEWSKI

Zdzisław Kozioł

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Wzrastającą aktywność zawodową i społeczną kobiet i w ogóle emancypację pięci pięknej traktuje się jako jeden z ważniejszych przejawów demokracji życia publicznego w nowej Polsce. Równie prawa dla kobiet — było przecież hasłem politycznym, chociaż niekiedy w praktyce k o n i e c z n o ś ć podnosiło się do rangi enoty. Tą koniecznością jest aktywizacja zawodowa kobiet, a mówiąc konkretniej — kobieta musi i pracować, jej praca jest p o t r z e b n a państwu i społeczeństwu. Stanowią one już 44,3 proc. ludności czynnej zawodowo; pod koniec 1966 roku w gospodarce narodowej pracowało 3 351 tys. kobiet o prawie 1 300 tys. więcej niż przed 10 laty; z uwagi na wyczerpywanie się zasobów męskiej siły roboczej tempo zatrudnienia kobiet przewyższa wzrost zatrudnienia mężczyzn. Nie bez znaczenia jest tu także, o czym szczegółowiej później, doświadczenie do szkół średnich i wyższych.

Czy to oznacza pełną emancypację, jak zwykle się mówi z okazji Dnia Kobiet lub Dnia Matki? Liczne badania, zwłaszcza socjologiczne, zdają się przeczyć optymistycznym twierdzeniom, co do postępów emancypacji, a na pewno sygnalizują społecznie ważne zagadnienie, jakim jest trudna sytuacja kobiety pracującej, głównie tej, która pracować musi, że wspomnę tylko o jedynych żywicielkach rodzin, a tych zwłaszcza w wieku średnim i starszym, jest wcale niemało. Uzasadniony niepokój budzi jednak nadmierna feminizacja wielu zawodów, co niejednokrotnie przynosi skutki społecznie szkodliwe, przy czym dla uniknięcia nieporozumień dodam, że stwierdzenie to nie ma nic wspólnego z jakkolwiek dyskryminacją kobiet; przekonywującej jest natomiast pogląd, że pozostawienie naszym żonom, siostram i córkom kilku czy kilkunastu zawodów pozostaje w sprzeczności z obiegową pojmowaną równouprawnieniem. Pracują one przede wszystkim w zawodach mniej płatnych, chociaż bardzo ważnych wywierających istotny wpływ na współczesne społeczeństwo.

Do tego wątku jeszcze powrócę, a teraz kilka danych obrazujących pozycję kobiet w Polsce. Tuż po zakończeniu wojny było ich o ponad 2 mln więcej niż mężczyzn; największe zachowanie równowagi płci nastąpiło właśnie u nas oraz w ZSRR, Niemczech i Austrii. Liczebna przewaga kobiet jednak systematycznie maleje, stanowią one obecnie 51,4 proc. ludności, a pełną równowagę płci — przewidują statystycy — osiągniemy w latach osiemdziesiątych, z tym, że

wśród młodzieży już jest więcej mężczyzn.

Znamienne jest to, że przewaga kobiet w większym stopniu występuje w miastach niż na wsi. Najbardziej sfeminizowana jest Warszawa i Łódź, gdzie na 100 mężczyzn przypada 116 kobiet; tym chyba należy tłumaczyć mniejszą stabilność instytucji małżeństwa, ale nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że np. w nowo powstających ośrodkach przemysłowych, w których zazwyczaj przeważają mężczyźni, obserwuje się wiele niepożądanych zjawisk, jak pijactwo, chuligaństwo, rozwiązłość obyczajowa, lecz to już zagadnienie odrębne.

W 25-lecie powojennym nastąpiły istotne zmiany w poziomie wykształcenia kobiet; 39,5 proc. mieszkankę naszego kraju w wieku 18 — 24 lat życia posiada wykształcenie średnie i wyższe. Znamienne jest także porównanie: na 100 mężczyzn w tej grupie wieku z wykształceniem wyższym przypada 116 kobiet, podczas gdy w grupie wieku powyżej 50 lat zaledwie 34 kobiety. Prawie połowa uczniów w szkołach ponadpodstawowych to dziewczęta, a w wielu miastach licea ogólnokształcące są w 70 proc. sfeminizowane, przy czym zjawisko to ma tendencję rosnącą, co nie pozostaje bez wpływu na skład studentów pod względem płci. I tak np. w roku akademickim 1966/67 studiowało 105 tys. dziewcząt, a więc dwukrotnie więcej niż w roku 1950/51. W wielu szkołach wyższych student w spodniach należy do rzadkości; wśród 136 nowo przyjętych na Filologię polską i rosyjską w rzeszowskiej WSP dołączyłem się w tym roku zaledwie 11 mężczyzn.

I tu dochodzimy do istoty zagadnienia: czy wykształcenie kobiet określa ich miejsce w życiu gospodarczym i społecznym kraju? Wspomniałem już wyżej, że pracują one głównie w zawodach mniej płatnych. Dla poparcia tego twierdzenia podam kilka danych: ochrona zdrowia i opieka społeczna jest sfeminizowana w 78 proc., oświata, nauka i kultura w 66 proc., obrót towarowy w 65 proc., a administracja państwowa i wymiar sprawiedliwości w 47 proc. Tyle mówi statystyka, z praktyki zaś wiemy, że z reguły pracodawca oferuje nowo zatrudnionemu mężczyźnie wyższą stawkę niż kobiecie, która ma wykonywać tę samą pracę, a posiada takie same, jeśli nie większe kwalifikacje. Obliczono, że jeśli zarobki mężczyzn przyjąć za 100, to przeciętna płaca kobiet wynosi tylko 65.

Dysproporcje te nie są uzasadnione poziomem wykształcenia i

Kalman Segal

PIEKNA

Miejscowość, z której pochodził, srebrzystymi brzożami na ementaryzku wokół kościoła. W samym środku Pięknej, przy ryneczku, otoczony zdziwaczalnym parkiem stał stary, od lat zamknięty na ogromny klucz, obszerny pałac z modrzewia, z czterema drewnianymi kolumnkami na froncie. Wewnątrz leżały rupiecie z dawnej dworskiej siedziby, brzoż starodawną, trochę mebli i książek, niektóre książki były pudowej wagi, zrujnowane świątki z rozbitych podczas wojny lub po wojnie przez bandy obłupionych cerkiewek, brzożate mszały pisane cyrylicą i ozdobione miniaturowymi obrazkami i inicjałami, ikony o słodkich migdałowych oczach z napisami starosłowiańskimi, krzyże sześcioramienne, ołtarzyki składowane, ikonostasy, cały ten zakurzony i wzruszający kram leżał w salach obszernych, gdzie huczał

wiatr, a pająki tkły swoje misternie sieci. Wszystko to czekało na decyzję władz konserwatorskich. Mieszkańcy Pięknej walczyli jak lwy o to, by te skarby zatrzymać. Sołtys, a potem przewodniczący gromadzkiej rady narodowej wciąż jeszcze, choć od lat bezskutecznie marzył o urządzeniu muzeum regionalnego właśnie tu, właśnie w tym opuszczonym sprężniałym budynku. Cekał na jakieś kredyty, marzył mu się po nocach malowidła na ścianach starych, zakurzonych salonów — odnowione, błyszczące i pachnące świeżą farbą i politurą; portrety szlacheckie i dam śniły mu się, świątki zmartwychwstałe — on to wszystko kochał, ten stary przewodniczący rady gromadzkiej, który w młodości podobno wiersze pisywał, podróżował po świecie, pływał na morzu, na lądzie walczył w hiszpańskiej armii republikańskiej, a pewnego dnia wrócił do rodzinnego domu, tęsknota go przydusiła, więc powrócił do pluga i do kosa.

Wojnę spędził w obozach, a po wyzwoleniu zaczął rządzić wsią, stało się to z wyboru mieszkańców, nie wzbraniał się od tego wyboru, schlebiali mu to, robił wielkie plany i wielkie awantury, był marzycielem za młodu i pozostał fantastą na starość, groził ustawicznie rebelią, nie bał się nikogo, ponieważ miał czyste sumienie i czyste spracowane ręce, czuł za sobą poparcie przyjaciół, a w wojewódzkim mieście miał poplecznika, na którego liczył mocno i aż nazbyt — sekretarz komitetu wojewódzkiego również stąd pochodził, z tej właśnie Pięknej. A najwięcej było awantur o

tę starzyznę z zamkniętego pałacyku. Ilekroć zjawiał się dyrektor Powiatowego Muzeum z werdyktem w garści i z zamiarem wywiezienia eksponatów, z budynekku straży pożarnej rozlegała się przerażająca syrena alarmowa, a na dzwonnicy kościelnej zaczynał kołysać się osiemnastowieczny dzwon i ludzie wychodzili z domów, starszycywie garniarze z rękami wilgotnymi od gliny, i kobiety z chochlami w rękach i nawet ksiądz wikary wybiegał z malenkiej odrapannej plebanii, wszyscy szli pod stary pałacyk bronić historycznych skarbów, portretów szlacheckich, dowodów minionej chwały. Komendant posterunku MO sierżant Weislo, przepiękny wewnętrzny rozterka, sercem całym przy miejscowej społeczności jako rodak tutejszy z dziada pradziada, miewał jednak niejakie wątpliwości — kto ich nie ma? Kto ich nie ma? — i zastanawiał się z głębokim niepokojem, kiedy ten cholerzny dyrektor Muzeum Powiatowego wpadnie na pomysł zaprosić do Pięknej powiatowego komendanta MO. Sierżant Weislo byłby wtedy w kropce, gdyby mu na przykład rozkazano wykonać i wprowadzić w życie decyzje Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Ale komendant powiatowy jak dotąd, chwalał Bogu, w tej sprawie nie przyjechał jeszcze ani razu, sierżant mógł więc nadal zachować swoje desinterement ku korzyści Pięknej. Trwały te spory i pasje kilka lat, potem nieco przycichły, zwłaszcza odkąd pałacyk oszklono i kratami zaopatrzone okna przed kradzieżą. Bogiem i prawdą, nikt nie wiedział po co te zabiegi potrzebne. Kto by tu kradł święte

obrazki i to w dodatku nie katolickie, lecz unickie. Skradziono by kartofle, albo drzewo opalowe. Ale święte obrazki? Portrety szlacheckie? Komu one potrzebne?

Piękna rozsypywała się. Kamienice, ściany starych domów zapadały się coraz głębiej w ziemię, słoma i gonty na dachach gniły pod grubą warstwą aksamitnego mchu, zaś ściany chałup drewnianych wybrzuszały się, nie było rąk do wykonywania solidnych ciesielskich remontów, była to bowiem jedna z tych smutnych miejscowości na Podkarpaciu, gdzie wyginęli prawie wszyscy mężczyźni. Trzech zbiorowych egzekucji dokonali hitlerowcy w pierwszych dwóch latach okupacji. Ci zaś, którym udało się uniknąć kuli niemieckiej i niemieckiego stryczka, zostali wciągnięci w wir krwawej pożogi już w pierwszych tygodniach i miesiącach po wojnie — tu grasowali, siali ogień i zbiegali krwawe żniwo bandy słynnego Hrynia. Więc potem, gdy uścili już strazy i gdy nastał czas pokoju i powrotów, czas podliczenia strat, okazało się, że zabrakło mężczyzn, ostaly się kobiety i dzieci jeno, i starców kilkunastu, na dziesięć chałup było pięć spalonych, na dziesięć chałup był jeden gospodarz, Piękna była już tylko ojczyzna wdów i sierot.

Niektóre młode kobiety czekały na powrót zaginionych bez wieści mężów lub na to, że przyjdą tu ludzie z innych wiosek, może z Bugu, zjawiają się młodzi silni mężczyźni, którzy wezmą na siebie ciężkie trudów i odbudują zrujnowane życie. Ale nikt się tu nie zjawia, nie było po co, przemysłu

FEMINIZACJI

kwalifikacji, przynajmniej w stosunku do kobiet młodych: wydaje się, że nadal utrzymuje się przesąd, o ile w ogóle takie określenie jest tu właściwe, o mniejszej przydatności zawodowej kobiet, względnie, co w prywatnej rozmowie mówił mi niejeden dyrektor, obawa przed koniecznością świadczeń socjalnych na rzecz pracujących kobiet, jak np. urlopy macierzyńskie, zwolnienia lekarskie dla opieki nad chorym dzieckiem itp.

Sprowadzanie całego problemu do wyrzekań na pracodawców byłoby jednak uproszczeniem; często nie dopuszcza się kobiet do określonej pracy pod pretekstem troski o ich zdrowie, przy czym niejednokrotnie pracodawca rzeczywiście uważa, że dane stanowisko robocze jest za ciężkie dla kobiety. Otóż zachodzi zasadnicze nieporozumienie: co innego praca ciężka, a co innego szkodliwa dla kobiety z uwagi na jej strukturę fizyczną czy inne właściwości biologiczne. Weryfikacja utartych pojęć następuje dopiero pod wpływem sytuacji na rynku pracy; deficyt męskiej siły roboczej skłania pracodawców do zatrudniania kobiet, a jako nowo przyjęte zajmują stanowiska mniej płatne, bo pracujący na nim uprzednio mężczyźni zdążyli już awansować.

Zagadnienie nieco uprościłem, lecz sądzę, że m. in. w tym należy szukać przyczyn dysproporcjach płac. Przytoczę jeszcze dość znamienny przykład z woj. rzeszowskiego, ale miejscowości nie wymienię, gdyż mój rozmówca, dyrektor średniej szkoły zawodowej, prosił mnie o dyskrecję. Pytałem go, dlaczego nie przyjmuje dziewcząt; odpowiedział, że są one nieprzydatne do zawodów technicznych, a ponadto obniżają sprawność nauczania. Często już w pierwszej klasie opuszczają szkołę, nie mogąc podjąć przedmiotom ścisłym, nie mówiąc już o awersji do zajęć warsztatowych, które brudzą ręce, niszczą odzież itp., w klasach zaś starszych przerywają naukę z powodu zamążpójścia. (Nawiasem mówiąc takich wypadków, na moje usilne nagabywanie, naliczył zaledwie kilka na przestrzeni ostatnich lat). Koronnym argumentem dyrektora było powołanie się na politykę kadrową zakładu przemysłowego, w którym absolwenci podejmują pracę; technik w spodniach otrzymywał pracę w produkcji, w sódniczy natomiast tylko w biurach, przy czym rzadko w biurze konstrukcyjnym. Rzecz jasna, że ci w produkcji otrzymywali znacznie wyż-

sze, przynajmniej po paru latach, uposażenie.

Otóż w tym właśnie przedsiębiorstwie, gdy w okolicy wyczerpały się zasoby męskiej siły roboczej, sięgnięto po kobiety, powołano nawet specjalną komisję, która badała każde stanowisko robocze z myślą o ewentualnym zatrudnieniu kobiet. Była to do słownie batalia społeczna, musiało pokonać wiele oporów, lecz zwyciężyła k o n i e c z n o ś ć; jeden ze szczególnie upartych oponentów przyznał później, że zatrudnienie kobiet nie obniżyło wydajności pracy, natomiast wpłynęło na poprawienie atmosfery w jego wydziale, bo mężczyźni przestali rzucać przysłowiowym „mięsem”, schludniej się ubierali, ustały ordynarne kłótnie itp.

Skoro już o tym wspominam, to popatrzmy, jaka jest atmosfera w sfeminizowanych instytucjach; wystarczy jedno słowo — z reguły okropna. I ta atmosfera jest przyczyną, że nieliczni tam mężczyźni wolą pracę zmienić, byle tylko być z dala od intryg, nieustających plotek, ustawicznej wojny nerwów, co w sumie powoduje, że pracownica ze sfeminizowanej instytucji nawet w życiu prywatnym zatracza dodatnie cechy charakteru. Nie będę tego wątku rozwijał, a więc pomnę np. sytuację młodej dziewczyny, powiedzmy absolwentki uniwersytetu, która znajduje się wśród, jak to się zwykło określać, ciotek: jakże często jest ona z góry skazana na opinie złej pracownicy, którą diabli wiedzą czego uczono na studiach, a jeśli jest ładna, to na dodatek obowiązkowo będą zastrzeżenia do jej moralności. I tego aspektu zagadnienia nie można pominąć rozpatrując skutki nadmiernej feminizacji pewnych zawodów.

Ważniejsze, a przynajmniej bardziej oczywiste są następstwa feminizacji z punktu widzenia kryteriów merytorycznych. Zazwyczaj stawia się retoryczne pytanie, czy społecznie jest pożądane, że np. 80 proc. stomatologów, 78 proc. farmaceutów, 71 proc. nauczycieli, 81 proc. bibliotekarzy to kobiety. Narazimy się na zarzut konserwatyzmu, jeśli powiemy, że nie każda kobieta potrafi skutecznie leczyć lub uczyć matematyki i innych przedmiotów ścisłych, a co bardziej krewka oponentka poda przykład Skłodowskiej.

Otóż jeśli chodzi o szkolnictwo to niepożądane następstwa feminizacji są już dostatecznie uargumentowane, jednak feminiza-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Jedna z uroczych dziewcząt Zespołu Pieśni i Tańca Rafinerii Nafty w Jasle.

FOT. M. KOPEC

Rzeczy dziwne i ciekawe

TYGRYSI HOTEL

Nepal, położony u stóp najwyższych gór świata — Himalajów, zafundował dla turystów oryginalną atrakcję. W odległości 75 mil od stolicy, w dżungli, zbudowany został tzw. „Tiger Tops Hotel”. Wzniesiony na specjalnych podporach, znajduje się na poziomie gałęzi najwyższych drzew. Dzięki temu z okien hotelu oglądać można życie dzikich zwierząt, których jest tam wiele. Doba hotelowa kosztuje 50 dolarów od osoby plus 10 procent dodatek za usługę.

OJCIEC WINIEN!

Przeprowadzone ostatnio we Francji badania wykazały, że złe postępy w nauce mają przeważnie dzieci, których ojcowie są zapracowani i rodzinie nie poświęcają wiele czasu. Nawet w domach, gdzie matki dopilnowują odrabiania lekcji, gdzie dzieciom przy lekcjach pomagają — nie rekompensuje to stałej nieobecności ojca, braku jego aktywnego współdziałania w wychowaniu dziecka.

GŁOSY KOBIEC

Aby zaprotestować przeciwko odmawianiu kobietom prawa głosu, Angielka Emily Dawidson rzuciła się w 1913 r. pod koła kró-

lewskiej karocy. Zmarła na skutek odniesionych obrażeń.

W Syjamie i Gwatemali głoszące kobiety muszą umieć czytać i pisać — ale od mężczyzn nie wymaga się tej sztuki.

ZAZDROŚĆ L... WARSZAWA

Była kiedyś w Warszawie ulica Zazdrość. Tak nazywał się za Stanisława Augusta placik poniżej Belwederu nie opodal Wisły. Wał sypany za króla Stasia, mający na celu obronę miasta przed epidemią dżumy, zataczał olbrzymi łuk, którego jeden koniec opierał się o Wisłę przy tej właśnie Zazdrości, drugi zaś dosięgał rzeki przy folwarku Półków. Skąd się tu Zazdrość wzięła? Niestety, kroniki na ten temat milczą.

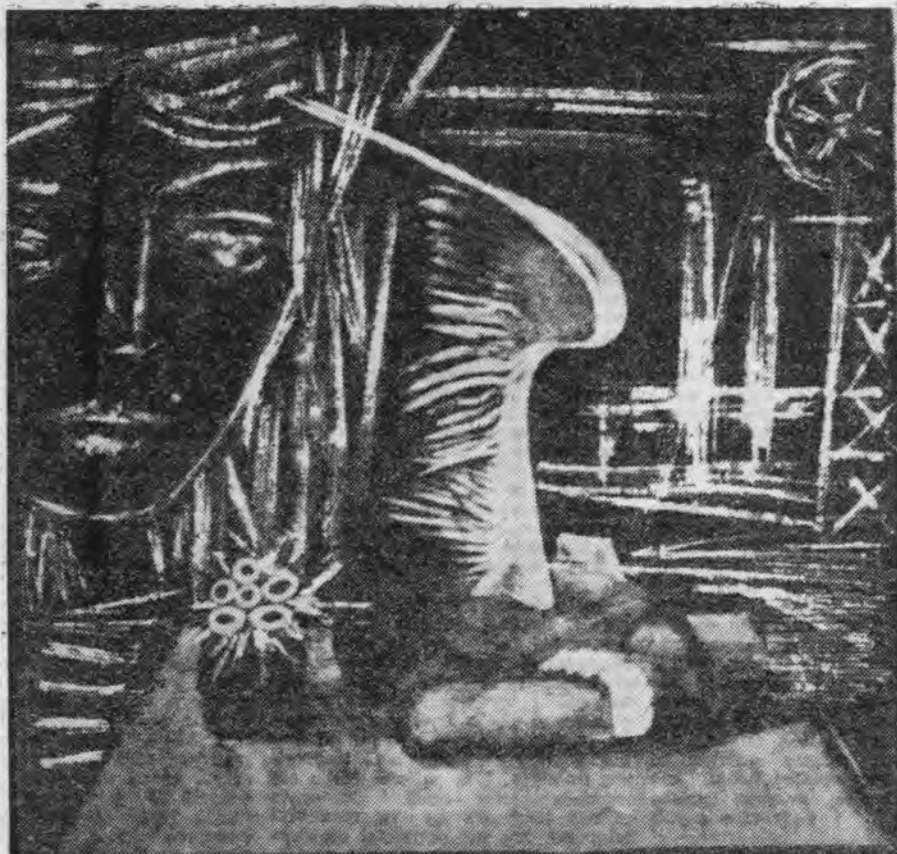
WYŚCIG WAZY

Co roku w Mora (Szwecja) zbiera się ponad tysiąc narciarzy, którzy próbują swych sił w „Wyścigu Wazy”, szwedzkim biegu maratońskim na przestrzeni 480 km i na trasie przebytej ogiś przez wysłanników szwedzkich patriotów. Działo się to w 1521 r., gdy Gustaw Waza schronił się przed Duńczykami w góry, na granicy Norwegii. Jego stronnicy zebrani w Mora wysłali doń dwóch narciarzy z prośbą, by objął kierownictwo nad walką wyzwolenczą.

żadnego tu nie było, ziemia tu podła, w połowie kamienista, a w połowie gliniasta, żółta, lepka, z tej gliny niegdyś wyrabiano tu piękne ceramikę w starym ludowym stylu; drabiniaste, płótnem kryte parokonne wozy z Pięknej jeździły z towarem niegdyś po całej Polsce, a jeszcze wcześniej po całej Galicji i dalej aż na Węgry i Morawy. Ale te czasy minęły bezpowrotnie, nikt już dzisiaj nie używa ślicznie emaliowanych i opalanych garnków z gliny, nikt już nie jada z glinianych miseczek, nikt nie nosi kosiarzem jedzenia w glinianych staropolskich dwójkach. Nastąpiła epoka termosów.

Jeszcze w niektórych domach kręca się czasem koła garncarskie, ale już tylko dla własnego użytku i dla użytku jakiego sąsiada. Jeszcze wyrabia się tu i ówdzie doniczki do kwiatów, gdzie indziej zabawki drewniane, ktoś zimową porą majstruje wieszaki, warzachwie, ale i to kończy się, świat nie chce już drewnianych warzachwi, tak jak zrezygnował już z drewnianych łyżek. Sklepy są pełne zabawek z metalu i warzachwi z metalu i ze sztucznych tworzyw.

Piękna drzemie, zamiera — wieś jak śnieżyca ryba. Zimą wiatr przynosi całe góry śniegu i ciska je do okien, tworzy zaspę, sięgając aż do samych okopów. Kto ma w domu zapas żywności, zapalek i nafty, ten nosa za zagrodę nie wychyli. A kto nie ma zapasu, ten brnie przez góry śniegowe do sklepiku i wraca prędko do domu, do plecienia koszyków i półkoszyków — łoza nadrzeczna w tej okolicy giętka nadzwyczaj i nadaje się do wikliniarstwa, przewod-



RYS. J. SIENKIEWICZ

niczący rady gromadzkiej dogadał się ze Spółdzielnią „Las”, przystąpił tu instruktorce, posiedzieli miesiąc z kobietami, nauczyła i oddała robia te koszyki i wysyła je do powiatowego miasta, a stamtąd dalej, nawet do krajów zamorskich.

Wikliną zajmują się zimą, a latem — w polu, na stokach skalistych wzdłuż rzeki wyrzucają z zagonów kamienie, co roku nowe kamienie wyrastają, góry kamienne, sam diabeł by zasiewa, sam diabeł dba, by ich nigdy nie brakło.

Jesienią kobiety kopią kartofle, a wieczorami na progach domów łuskają fasolę ze strączków, a dzieci do późnego wieczoru łowią ryby w rzece lub siedzą przy ogniskach na kartoflianych polach. Jest cicho i smutno.

Nawet szkoła zaczęła się przerzedzać i wyludniać, mało było młodych małżeństw, dzieci nie rodziły się. Te, które kończyły szkołę i dorastały, nie chciały siedzieć na miejscu, odchodziły w świat.

Przewodniczący jeździł bezustannie do powiatu, poruszał niebo i ziemię, nie ustawał w zabiegach o uzyskanie milionów na budowę ośrodka mleczarskiego dla okolicznych wiosek, z siedzibą w Pięknej. Wyperswadowano mu to, wytłumaczono, że nie warto tworzyć takiego ośrodka w okolicy tak nieurodzajnej, gdzie nie ma żadnych miejscowych rezerw paszowych ani możliwości rozwinięcia produkcji zwierzęcej. Ale zaproponowano mu kredyty na budowę fabryki wyrobów wikliniarskich, zaczęto nie od budowy hali fabry-

Ryszard Dzieduszycki

Dzieje rzeszowskich aptekarzy

Przy ul. Basztowej w Krakowie, w starej, czynszowej kamienicy nad katedrą farmacji przy Akademii Medycznej, mieści się jedyne w Polsce, a unikalne w Europie Muzeum Farmacji Polskiej.

Znajdziemy w nim rekwizyty pozbierane ze wszystkich niemal starych aptek z terenu Rzeszowszczyzny oraz portrety sławnych aptekarzy z Rzeszowa, Sanoka, Dębicy, Przemysła i Dzikowa. Mnóstwo jest tych rekwizytów i to w tak różnorodnym gatunku, że wyliczanie ich zajęłoby sporo miejsca, a w niektórych wypadkach naraziłoby na kłopot piszącego te słowa, jako że z farmacją ma tylko do czynienia w okresie nasilenia grypowych i terminologia tej tak ważnej dla ludzkości nauki jest mu najzupełniej obca. Okiem laika dostrzegam niezwykłe, wypatroszone i wypchane jaszczurki, jadowite węże, krokodyle i nietoperze służące ongiś średniowiecznym farmaceutom jako surowiec do wyrobienia lekarstw; jakieś starodawne instrumenty medyczne, przypominające narzędzia tortur oraz zupełnie prozaiczne, znane z wyglądu i kształtu każdemu beczki na piwo i wino, jako że dawni aptekarze miewali dobrze zaopatrzone piwniczki. W jednej z sal mieści się kompletne wyposażenie apteki, łącznie z szafkami, półkami i słojami szklanymi, miedzianymi, nadającymi aptece charakterystyczny wygląd. Jest to stara apteka z Leska założona w 1810 roku przez Kaspra Barańskiego. Piękna obudowa znamionuje styl empire. Szafki i półki zostały wykonane z mahoni. Gdzież dzisiaj aptekom do tak luksusowego umeblowania!

Założycielem placówki jest dr Stanisław Proń, chlubiący się trzema specjalnościami, jest bowiem prawnikiem, farmaceutą i historykiem. Warto podkreślić, że pochodzi z Jasła i jest bardzo silnie uczuciowo związany z Rzeszowszczyzną. Znają go starzy aptekarze, a on zna dobrze ich historię.

— „Po Kasprze Barańskim aptekę objął syn Robert — mówi. — Studiował on naprzód farmację w Budapeszcie i otrzymał dyplom magisterski w 1839 roku. Ożenił się z węgierską szlachcianką Emilią Fasconyi. Dowodzi to, jak wybitną rolę odgrywał zawód farmaceuty w tamtych czasach, jaki miał wysoki prestiż w społeczeństwie. Ich syn Józef był uczestnikiem powstania styczniowego. Jako ciekawostkę mogę podać, że ojciec na intencję szczęśliwego powrotu syna z pola walki postawił w Lesku piękną kaplicę, do której świątki wyrzeźbił miejscowy rzeźbiarz ludowy. Pamiętam tę kapliczkę, stanowi niewątpliwie cenny zabytek kultury ludowej.

Z portretów spoglądają na nas marsowe oblicza w kontuszach i rogatywkach, z szablami przy boku. Myślałby kto, że to hetmani, a to „tylko” aptekarze z dawnych wieków. Dr Proń objaśnia dzieje każdego rodzaju. Farmaceuci byli elitarną grupą w mieszczaństwie galicyjskim. Wykształceni, znający się na medycynie nie gorzej od lekarzy, stanowili element światły i patriotyczny. Nie ma rodziny, która by nie wysłała swego przedstawiciela do udziału w kolejnych wolnościowych zrywach narodu polskiego w 1831, 1846, 1848, 1863 roku...

Ale nastał czas pracy organicznej. Wchodzimy do pokoju Ignacego Lukaszewicza, wynalazcy lampy naftowej, współtwórcy przemysłu naftowego na terenie Rzeszowszczyzny. Pokój jest pełen pamiątek po wielkim wynalazcy: szafka z narzędziami, których używał, antyczne biurko, przedmioty użytku osobistego, obrazy... Zwraca uwagę ogromny portret Lukaszewicza. Dr Proń mówi: „Znana jest anegdota, przekazywana w rodzinie Lukaszewiczów z pokolenia na pokolenie. Lukaszewicz, jak wiadomo, dorobił się na nafię dużego majątku. Ale nafta opanowała go do reszty, do tego stopnia, że cały był przesiąknięty jej odorem. Pewnego razu żona zwróciła

się do niego z pretensjami: „wstydz się Ignasz, tak brzydko śmierdzisz!”. Poirytowany Lukaszewicz odparł: „po to tak śmierdzieć, żebyś ty mogła pachnieć. Perfumują się tylko ci, którzy nie muszą pracować”.

Pamiętki po wielkim wynalazcy ofiarowali spadkobiercy. Długo można by mówić o sławnych rzeszowskich aptekarzach. Dr Proń, który przez 15 lat zbierał eksponaty do muzeum, znalazł się również w posiadaniu dokumentów rodzinnych farmaceutów i opracował szeroką ewidencję, obejmującą kilkaset nazwisk. Cały swój ogromny trud zawarł w monumentalnym dziele „Muzeum Poloniae Pharmaceuticum”, które ukazało się w bieżącym roku nakładem PZWL. Jest to jakby historia polskiego aptekarstwa, w której sporo miejsca poświęcił autor farmaceutom z terenu Rzeszowszczyzny.



Zdjęcie dokumentalne dr Stanisława Pronia.

Zbigniew Wawszczak

Na starym szlaku (II)

W taki słoneczny, letni dzień cały świat wygląda jakoś inaczej, radośniej, wesalej. W ostrych promieniach słonecznych doskonale prezentują się odbudowane mżolnie, przywrócone do dawnej świetności, drewniane domki w Pruchniku, na których wspierają się kształtne, kryte gontem dachy, dociera do okien dawnych warsztatów rzemieślniczych, szewskich, rzeźniczych, bednarskich. Słychać kiedyś Pruchnik ze swego rzemiosła. Każdy z tych drewnianych pamiętających ubiegłe stulecie domów dzielił się na część mieszkalną i warsztatową, w podsieniach, które chroniły przed deszczem w razie niepogody wystawiano gotowe już wyroby.

W paru punktach miasteczka znajdowały się domy kupcy: tutaj przejeździ kupcy znajdowali nocleg i posiłek. Ale zmieniły się czasy, odsunęły się od Pruchni-

ka gwarne karawany kupieckie, inny kierunek przybrały stare szlaki komunikacyjne, krakowski i węgierski.

W rozedrgany od słońca letni czwartek łazimy po kocich łbach pruchnickiego rynku, opadającego ukośnie w dół, zabudowanego w sposób niejednorodny: obok stylowych domków, na które od lat chuchają konserwatorzy, stoją zwyczajne, odrapane kamieniczki, a jedną ze ścian rynkowych w znacznej części wypełnia, niezbyt ciekawa architektonicznie, niska hala targowa. Mimo więc konserwatorskich zabiegów, rynek nie odzyskał — bo było to niemożliwe — swego dawnego charakteru. Jest Pruchnik dzisiejszy miasteczkiem kontrastów. Obok odnowionych, dzięki dotacjom państwowym, charakterystycznych, drewnianych domków, stoją podrapywane, pochylone od starości domostwa. Nie wygrało miasteczko losu na loterii ani w nim, ani też w okolicy nie wybudowano wielkiego przemysłu, na zarobek wyjeżdżają pruchniczanie w znacznej mierze gdzieś dalej. Ale utrzymywanie że nic się tu nie robi, było niezgodne z prawdą. Nowoczesny ośrodek maszynowy obsługuje okoliczne wsie, niedawno wzniesiona piękna szkoła jest przedmiotem dumy mieszkańców, sporo osób zatrudnia miejscowy GS. Gromadzka Rada Narodowa, Gminna Spółdzielnia noszą się z konkretnymi planami dalszej aktywizacji Pruchnika, jednakże realizacja tych zamierzeń postępuje jakoś opornie, bez większych efektów

Jak kiedyś, przed laty, w czwartki odbywa się tu targ, ale gdzie mu tam do dawnej świetności. Zresztą czy ta świetność rzeczywiście kiedyś była aż tak dużej próby? W każdym razie, w czwartek w miasteczku jest gwarniej i ruchliwiej aniżeli codziennie. Z okolicznych, ukrytych pomiędzy łagodnymi wzgórzami wioskę zjeżdżają furmanki, pełne ludzi, a niekiedy i zwierząt. Turkot podkutych wozów, gwar rozmów, wałęsające się gromadki — wszystko to da-

PIĘKNA

(Ciąg dalszy ze str. 3)

eznej, ale od ośrodka zdrowia i to bardzo wszystkim się spodobało. Obiecano także wskrzesić przemysł ceramiczny, coś z tej tutejszej glinki można by zrobić, może dachówki, może ceramikę sanitarną, odda się próbki do analizy, może uda się wybudować fabrykę wyrobów fajansowych, ale jeszcze nie teraz, w przyszłości. Dlaczego nie teraz? Stary entuzjasta i człowiek czynu, przewodniczący rady gromadzkiej nie chciał pojąć, że ta podupadła Piękna — nie ma własnej siły roboczej dla przemysłu, a co szczególnie wpływało niekorzystnie na jego plany: leży daleko od szlaku kolejowego. Trzy mile do najbliższej stacji kolejowej.

Adam był jedynakiem, urodził się półsierotą, gdy przyszedł na świat, jego ojciec już nie żył. Ojciec był legendą — zginął we wrześniu w trzydziestym dziewiątym, w trzecim dniu wojny, zbombardowano jego baterię pod Rybotyczami. Jest to małe miasteczko, w którym cofająca się i już zdziśiatkowana część armii działającej na południu, usiłowała zatrzymać się i okopać.

Matka była piękna — taką ją widział zawsze, piękną, o kształ-

nowych włosach — skąd na wsi takie włosy? — o wspaniałe sklepienie czoła, ustach wydatnych, najczęściej gotowych do uśmiechu, wysoka, poruszała się z godnością i elegancją wielkiej damy, choć była tylko córką i wnuczką garmarzy. Tylko ręce miała brzydkie: dłonie duże i twarde, sine od zimna, o skórze zrogowaciałej od ciężkiej pracy. Taka była, zapamiętał ją taką, gdy miał pięć czy sześć lat, a potem lata mijały, czas posuwał się, Adam był już młodzieńcem rosnącym, był już młodym mężczyzną, ale urok matki pozostał, niezmienny, piękno matki jaśniało w jego sercu niewyczerpanym blaskiem. Nie dostrzegł zmarszczek na jej twarzy, ani siwizny w jej kasztanowatych włosach.

Wyrastał w środowisku, gdzie mówiło się więcej o umarłych niż o żywych. Ale życie jest życiem i narzuca swoje prawa. Dzieczęta wczesnie zaczynały marzyć o zamążpójściu. Wdowy przekroczony pewną granicę wieku, przestawały oczekiwać żalotników; jeśli w domu były córki, matki pragnęły ożywić i wzmocnić rodzinę zięciami. Synowie osiągnawszy wiek pełnoletni, zrywali się do lotu, nęciły ich miasta, nie to powiatowe miasto odległe o trzy mile kamienistej drogi, ale wielkie, i ludne, gwarne miasta pełne fabryk i najrozmaitszych możliwości.

Gazety były pełne ogłoszeń o poszukiwaniu ludzi do pracy, było w czym wybierać, jeśli się coś umia-

ło i było w czym wybierać nawet jeśli się niczego nie umiało — jeśli tylko dobre chęci były i pilność. Więc pojedynczo lub po dwóch, trzech, każdej jesieni kiedy skromny urodzaj był już pod dachem, znikali o świcie, opuszczali dom rodzinny. Co roku liczba młodych mężczyzn zmniejszała się. Bliscy krewni tych wyjeżdżających przez kilka tygodni unikali rozmów o nich. Było bowiem coś wstydliwego w tych wyjazdach; ci, którzy tu pozostali, czuli się pokrzywdzeni i zdradzeni — osamotnieni, tak jakby każdy z opuszczających wioskę, podważał stare fundamenty ich wspólnej egzystencji. Ale ten proces emigracji był nieodwracalny. Najpierw wyjeżdżali synowie, czekało się potem na listy, potem matki wyjeżdżały do synów, zamykano chałupę na wielką kłódkę, okiennice na opuszczonych domach wyglądały jak smutne maski.

Dla Adama decyzja była szczególnie trudna, trudna i bolesna; wychował się pod opiekuńczymi skrzydłami matki, której miłość wykształciła w nim wielką delikatność i wrażliwość. Był sentymentalny, oboje byli sentymentalni, matka i syn — zależni od siebie wzajemnie, związani najczulszą miłością. I ta miłość długo nie pozwalała mu opuścić domu, ta miłość trzymała go tu mocnymi więzami. Ale nie podzielał matczynej nadziei i marzeń o jego kosztownym ożenku lub o przeniesieniu się do powiatowego miasta,

gdzie było się prawie jak w domu i prawie jak na szerokim świecie. W miarę jak dorastał, w miarę jak mijały lata, czuł się coraz bardziej uwieczony. Te stare domki i górzyste krajobrazy wokół nich, wydawały mu się pułapką, czymś od czego należało się w porę wyzwolić, uciec. Czuł pulsowanie sił w mięśniach, pragnął czynów, działania. Rozmyślał o wielkich miastach, wielkich szanach, o niewiadomych niespodziankach, jakie mogły go tam spotkać. Niekiedy nęciły go studia — mógłby tam pracować i uczyć się jednocześnie, mnóstwo ludzi tak zdobywa zawód i wykształcenie. Pewnego dnia sprządał do siebie matkę, ona będzie prowadziła gospodarstwo, będzie mieć lekkie, dobre życie, a on — on szedłby naprzód krok za krokiem — ku czemu? Nie bardzo dokładnie wiedział ku czemu zmierzają te pragnienia? Nie bardzo dokładnie wiedział ku czemu w ogóle zmierzają wszyscy ludzie... Bogactwo? Nie to mu imponowało. Sądził, że istnieją jakieś głębsze drogi, poza zasięgiem ludzkich oczu. Ale traktował je tak, jak się traktuje piękne kwiaty wzdłuż drogi, którą dokądś idziemy. Ale dokąd? W jakim celu? Jaki cel miała jego piękna matka, gdy pewnego dnia wyszła po raz pierwszy na poletko i zaczęła uszuwać z niego kamienie, a potem czyniła to samo przez całe życie?

Jaki cel, dążenia jakie towarzyszyły ojcu jego matki, i także ojcu jego ojca, którzy życie całe spędzili przy garmarskim kole, przy piecu do wypalania emaliowanych miseczek, ozdabianych ludowymi jodełkami? Jakże cele następnym ludziom wielkie miasto, gdzie nie ma garmarzy, i gdzie nikt nie widział garmarskiego koła? Nie wiedział.

Nie chciał dokładnie precyzować swoich zamierzeń. Ale chciał wiedzieć o co chodzi w życiu. Był nauczycielem lub był lekarzem, służyć ludziom — ale nie wszyscy mogą być lekarzami i nie wszyscy odbywają tę służbę dość bezinteresownie. Być inżynierem, wynalazcą, konstruktorem, zmieniać świat. Czytał powieści o Barykach, żaden z nich już nie żyje, bo Cezary chyba zginął podczas demonstracji lub później w więzieniu, a może we wrześniu, i Zeromski też nie żyje. Nie oczekiwał się składanych domów, choć na otwarciu ośrodka zdrowia w Pięknej przewodniczący rady o Baryce właśnie mówił.

Być uczonym, który wie jak należy ten świat zmienić, nie chodzi chyba tylko o szklane domy, można być szczęśliwym nawet w drewnianym domu, te szklane domy były tylko pięknym marzeniem, pięknym przykładem starożytności do ludu. Przykładem zmian. Tak jak to światło elektryczne, które przed miesiącem dotarło do Pięknej. Jak ten świat zmienić jeszcze gruntownie — to chciał

je staremu miasteczku rumieńców. Na rozkładanych krzeselkach, na środku rynku, wśród obfitości wyrobów z wikliny i drewna, koszyków, koszyczków, bezulek, zabawek, drzemie paru starszuchów. Od czasu do czasu wśród tych kolorowych przedmiotów pojawiają się ku pujaćcy, przeważnie gospodie z pobliskich wsi. Z rozmowy z panią Żurawską, przedstawicielką starej rodziny kupieckiej, dowiadujemy się, że prawie wszystkie te wyroby nie powstają w Pruchniku, przywozi się je z Sieniawy i innych, niekiedy daleko odległych miejscowości.

Jest Pruchnik ośrodkiem ambitnym, a jego mieszkańcy szczytą się wiekową przeszłością. Wyrazem rozsądnie ulokowanych ambicji pruchnickich jest dom kultury. Przebudowany z opuszczonej cerkwi, może stać się obiektem bardzo dla mieszkańców użytecznym. Znalazły w nim pomieszczenie: biblioteka gromadzka, klub rolnika z czytelnią i kawiarnią, spora sala widowiskowa. Ale poza działalnością handlową, niewiele się tu dzieje. A przecież ma Pruchnik pewne tradycje działalności kulturalnej. Po pierwszej wojnie światowej działał tu zespół muzyczny. Na wspomnienie tamtych dni starsi promieniają. Dlaczegoż by



nie wskrzesić, nawiązać do tej tradycji? Może na początek zacząć np. od zorganizowania chóru? Chyba pruchnicki GS stać na to, aby opłacić instruktora? Ale trzeba chcieć, trzeba wykazać odrobinę zainteresowania tymi sprawami, trzeba koło nich zabiegać. W przeciwnym wypadku, mimo dobrych warunków lokalowych, w pruchnickim domu kultury nadal nie się nie będzie działo!

Ministerstwo Kultury i urząd konserwatorski WRN w Rzeszowie bardzo wysoko cenią oryginalną, drewnianą architekturę Pruchnika. Dowodem właśnie takiej postawy są prace konserwatorskie, prowadzone w miasteczku od kilkunastu lat. Kilka zabytkowych domów odbudowano, przy dalszych prace będą prowadzone. W ostatnich dniach urząd konser-

watorski przyjął dwa pieczołowicie odnowione domy w rynku. Zgodnie z sugestiami specjalnej komisji z MKiS, która bawiła niedawno w Pruchniku, jeden z tych domów przeznaczony zostanie na izbę pamiątek. Tylko o by znowu sprawy organizacji takiej izby nie ciągnęły się latami. Dzięki wieloletnim zabiegom miejscowego nauczyciela, Mieczysława Staffiaka, zgromadzone zostały ciekawe zbiory, jakże wiele mówiące o dawnych dziejach Pruchnika. Zbiory te przechowuje w swoim mieszkaniu pan Staffiak. Muzeum w Pruchniku może powstać jeszcze w tym roku: potrzebna jest jednak fachowa pomoc ze strony specjalistów — muzeologów. Nie wątpię, że Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, a także muzeum w Jarosławiu z pewnością takiej pomocy Pruchnikowi nie odmówią. Polegałaby ona na opracowywaniu scenariusza ekspozycji i następnie jej rozmieszczeniu.

Po co jednak Pruchnikowi izba pamiątek, czy też mówiąc inaczej, skromne muzeum? A no przede wszystkim po to, aby stworzyć jakieś dodatkowe atrakcje dla turystów. Władze konserwatorskie nie odbudowują stylowych domów podcieniowych jedynie dla własnej przyjemności, marzą one o tym, aby uroki oryginalnej architektury Pruchnika udostępnić rzeszom turystów z całego kraju. Skoro chcemy do miasteczka zapraszać turystów, należy również pomyśleć: primo — o ich wyżywieniu, secundo — o jakichś noclegach. Powstał więc projekt, aby jak najszybciej do-

czekał się realizacji — znaczenia jednego z domków na rodzaj schroniska turystycznego. Trzeba by sprawą tą zainteresować rzeszowskie PTTK i WKKFiT. Jeżeli chodzi o drewniane domy mieszczkańskie, Pruchnik jest perełką, nie mającą odpowiednika w rzeszowskim, a i w innych regionach kraju znalazłby rywali. Trzeba więc pomóc miasteczku w zagospodarowaniu turystycznym, trzeba zainwestować w niezbędne, na początek najskromniejsze, urządzenia i skierować na Pruchnik masowy ruch turystyczny. Kiedyś, ale to jeszcze odległe czasy, po przebudowie drogi Węgierka — Krzywca, przez Pruchnik prowadzić będzie najkrótsza droga w dolinie Sanu. Już dziś jednak Pruchnik może być punktem docelowym dla wycieczek, które interesuje dawna architektura, oryginalny folklor. W poprzednim artykule opisałem szczegółowo stare kapliczki ze ślicznymi rzeźbami, lamusy, baszty, które znajdują się właśnie na trasie Jarosław — Pruchnik. Można bez trudu jeszcze wzbogacić program, zbaczając tu i ówdzie z głównego szlaku. Tak na przykład w pobliskich Hawłowicach oglądać można stary zбір ariański, w położonym w kierunku Przeworska Zarzeczcu, przepiękny, stary park z wiekowymi drzewami i potężny, lasecystyczny pałac. Wylizam to na chybił trafił, aby dowiedzieć, że również okolicy Pruchnika mieszczą obiekty godne zobaczenia.

Instytucjom, które zajmują się rozwojem turystyki, proponuję, aby zechciały zobaczyć Pruchnik. Myślę, że miasteczko zasłużyło na jakiś folder, że trzeba jego walory rozreklamować, że należy mu pomóc. Powtarzam, widzę tu pole do popisu dla WKKFiT, Zarządu Okręgowego i innych placówek. Jeżeli by ta publikacja w jakiejś mierze przyczyniła się do wydobycia Pruchnika z cienia, w którym ciągle się znajduje, autor miałby ogromną satysfakcję. Jak dotychczas, walory Pruchnika dostrzegł jedynie resort kultury. Zawarte z władzami turystyczno-sportowymi porozumienie zobowiązuje je do współdziałania wraz z kulturą w zagospodarowaniu cennych ośrodków zabytkowych. Na koniec muszę jeszcze dobitnie powiedzieć, że nie chodzi tu o milionowe nakłady, wręcz przeciwnie, chodzi o życzliwość, zainteresowanie i drobne na początek środki.

KULTURA — POLSKA — ŚWIAT

O TWÓRCZOŚCI TUWIMA
W ZSRR

MOCKWA
Na łamach miesięcznika „Woprosy Literatury” ukazał się obszerny artykuł Iriny Koltaszewej pt. „O poezji Juliana Tuwima”. W swej pracy autorka, specjalizująca się w problemach współczesnej literatury polskiej, przeprowadza analizę twórczej drogi poety, od pierwszych liryków z roku 1918 aż do ostatnich utworów, napisanych tuż przed śmiercią. Wiele miejsca poświęca Koltaszewa tak istotnym w twórczości Tuwima związkom z literaturą rosyjską.
„Tuwim był jednocześnie wsławnym znawcą i wielbicielem rosyjskiej literatury — czytamy w artykule. — Ukoronowaniem jego zaiste tytanicznego trudu w dziele przekładu jest trzypięciotomowa antologia „Z rosyjskiego” (edycja ta przygotowana przez samego autora ukazała się po jego śmierci). W tych trzech tomach zawarta jest cała historia poetyckich pasji Tuwima — jest więc tu i poezja rosyjska XIX wieku i plejada rosyjskich symbolistów, wiersze Błoka, Pasternaka, Majakowskiego i Twardowskiego. „Słowo o pulku Igora”, poezje Niekrasowa, wreszcie przepyszny, mistrzowski przekład poematu „Komu na Rusi dobrze się dzieje”.

PRACE
POLSKICH SCENOGRAFÓW
NA WYSTAWIE W ZURYCHU

BERNO
W Zurychu, dużym zainteresowaniem cieszy się otwarta w czerwcu międzynarodowa wystawa college'u, na której eksponowane są prace artystów tej miary co Picasso, Braque i in.

Polscy scenografowie stosujący tę technikę malarską zostali również zaproszeni do wzięcia udziału w ekspozycji. Pokazano tu prace Józefa Szajny, Andrzeja Majewskiego, Krzysztofa Pankiewicza, Wojciecha Sיעińskiego i Franciszka Starowieyskiego.

MALARSTWO
WARSZAWSKICH ARTYSTÓW
W DANII

KOPENHAGA
W duńskich miastach Herning i Aarhus wystawili swe płótna warszawscy malarze tworzący grupę „7”. Ekspozycje w obu miastach spotkały się z wysoką oceną zarówno publiczności, jak i krytyki.

KONCERT
STUDENTÓW WARSZAWSKIEGO
KONSERWATORIUM
W BERLINIE

BERLIN
W ramach zorganizowanego przez Wyższą Szkołę Muzyczną w stolicy NRD „Tygodnia nowej muzyki” poświęconego muzyce Hannsa Lislera z okazji 70 rocznicy urodzin kompozytora, w siedzibie tej uczelni wystąpiła z koncertem grupa studentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie.

Polscy studenci wykali utwory Hannsa Eislera (wśród nich kilka jego pieśni w języku niemieckim) oraz kompozytorów polskich z XIX i XX wieku.
(Kt — PAP)



wiedzieć. Kiedy i w którym miejscu zaczyna się czas szczęśliwy, o którym słyszał od dzieciństwa w matczynej bajkach. Przyjechał raz młody człowiek na zebranie ludowe, miał przed sobą kartkę, do której zaglądał, czytał i mówił: „Pokolenia walczyły o równość i mamy równość. Pokolenia walczyły o reformę rolną, o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm. My to mamy, my to zdobyliśmy. Róbmy, żeby nam było lepiej”. Mówił o większej wydajności pracy i o lepszych urodzajach i co za tym idzie o wyższym poziomie życiowym, o lepszym ubiorze i lepszym jadł. To co mówił, trzymało się kupy i ludzie na ogół wysłuchali go z zainteresowaniem. Ale nie powiedział, co dalej. Ludzie marzyli o socjalizmie i mają socjalizm. Ale w socjalizmie ludzie też chcą o czymś marzyć. O tym co będzie jutro.

Więc czym zająć się? Może wyjechać do dużego miasta i tam założyć na zaufanie ludzi i pracować w jakimś wielkim urzędzie, być doradcą ludzi bezradnych, którzy sami nie mogą sobie poradzić. Doradcą? Właśnie, dlaczegoż to nie ma jeszcze w społeczeństwie urzędu doradców lub ministerstwa doradców, mądrych i życzliwych, którzy dniami i nocą czuwają i udzielają właściwych rad wszystkim błądzącym?

„Pozwól mi odejść” — powiedział pewnego dnia do matki i gdy to mówił, opuścił oczy, by nie

zetrząść się z jej wzrokiem. „Pozwól mi jechać” — prosił i czuł się tak, jakby tym jednym nieśladym zdaniem pozbawił się wszystkich dobrych cech, wszystkich dobrych uczuć, całej wierności dla matki. Był pełen wyrzutów sumienia, choć ona ani jednym słowem nie dała mu odczuć żalu lub niechęci dla tego pomysłu: „Dobrze” — zgodziła się, choć w głębi serca coś w niej może kamieniąło z cierpienia. Ona nigdy w żadnych okolicznościach nie zgodziłaby się na dobrowolne rozstanie z synem, życiem by zapłaciła, a na rozstanie nie zgodziłaby się. Ale skoro on tego chce... „Pozwalam ci, jeśli tego tak bardzo pragniesz, oczywiście”. Powiedział jeszcze tonem usprawiedliwienia: „To dla ciebie także będzie lepiej, mamo, przyjedziesz do mnie, niech no się tylko trochę urządzi, będziemy razem, zobaczysz jak nam będzie dobrze. Uśmiechnęła się, mrugnęła okiem filuternie, umiała grać swoją rolę, umiała wciąć jeszcze udawać, że jest wesoła i bez troska, także wtedy, gdy było jej smutno i do płaczu.

Zabrał się nazajutrz ciężarówką spółdzielni wikliniarskiej, matka stała na progu i żegnała go ręką, wyjechał, a w drodze miał o czym myśleć: matka na progu domu, już niemłoda, siwa już, blada już, o lekko zgarbionych plecach — gdy samochód znikł za zakrętem, ona zapewne weszła do izby, położyła się na łóżko, na jego łóżko, zanurzyła twarz w jego poduszce, płacząc całowała poszewkę

nasyconą zapachem jego potu i jego oddechem, może płakała cicho, lub głośno zawodziła, tak że sąsiadka przechodząc obok domu może usłyszała i weszła i uróbowiała ją uspokoić: „Pani Jadwigo kochana, wszystko przemienie, wszystko będzie dobrze, pobędzie tam i wróci, zatekni i wróci, zobaczy pani...”.

Przyjechał do Katowic — miasto zadziwiło go i oszołomiło gwarem, niepokojem pośpiechu, wielkością. Poczuł się raptem mały i nieporadny. Przeraziła go samotność — nie znał tu nikogo i nikt tu jego nie znał, był sam wobec świata. Ale już po kilku godzinach przekonał się, że ludzie idą mu na rękę. Począwszy od przechodniów, którzy cierpliwie informowali go, a nawet podprowadzali tam, dokąd chciał iść, aż po urzędników w ogromnym biurze, do którego zgłosił się z wyciętym ogłoszeniem gazelowym w rękę. Urzędnicy byli, uczynni. Ktoś z tego olbrzymiego biura odwiózł go samochodem do hotelu robotniczego. Pod koniec dnia leżał już w łóżku hotelowym, zmęczony śmiertelnie, ale prawie szczęśliwy. I już zaczął nie wierzyć w ten stary, głęboko zakorzeniony pogląd ludzi wiejskich, że miasto to siedlisko ludzi złych, czyhających na to, by okpić i wykić, oszukać i wysmiać człowieka ze wsi. Uspiał, ukołysany dźwiękami radia stojącego na stoliku koło łóżka. Miał chaos myśli w głowie, o mafce myślał, o ludziach, których dzisiaj spotkał, o pracy która go

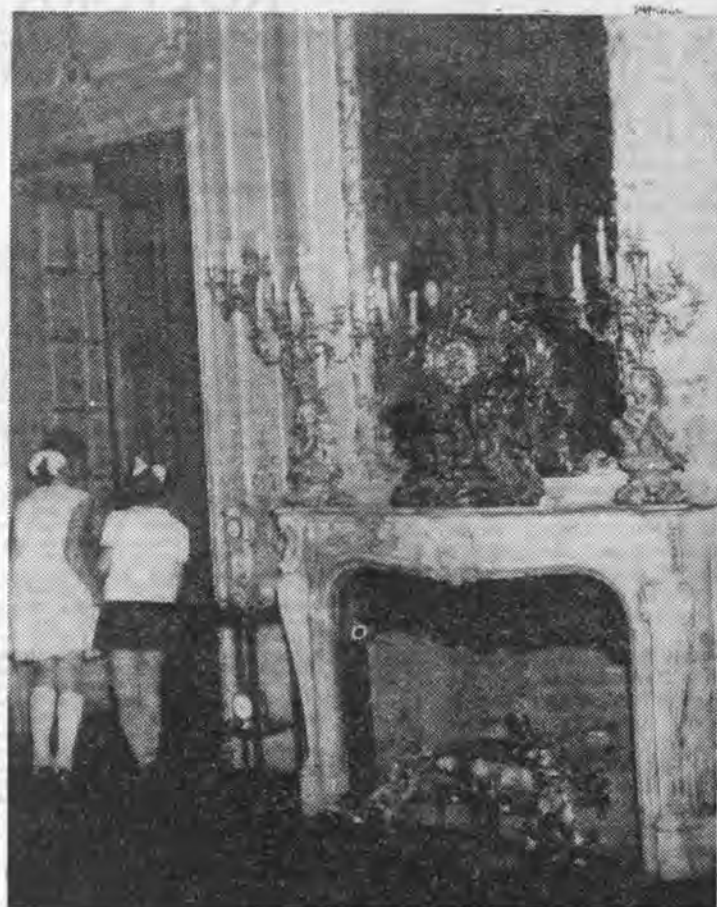
czeka jutro. Był zadowolony z siebie. Świat — był wspaniały.

Nazajutrz poznał młodych ludzi, podobnych do siebie i innych. Tych towarzyszy, tutaj urodzonych, i tych, którzy tu przywędrowali z innych okolic, z całej Polski. Przybyli tu szukać dobrego zarobku, możliwości wyczerpania się zawodu, po prostu zakosztowania wielkomiejskiego życia. Każdy tu szukał czegoś innego i każdy na ogół znajdował to, czego pragnął — nawet miłość, małżeństwo, dom. Ci, którzy tu się urodzili, i ci, którzy już zdążyli się tu oswoić i zadomowić, patrzyli nieco ubawieni na młodego i nieśmiałego chłopca, ale też odnosili się do niego życzliwie, serdecznie. Chciał im zaimponować swoją siłą i pilnością, pokazać, że jest kumpel, który nie wykręca się od roboty, mogą na niego liczyć, on zawsze gotów jest zrobić to, co do niego należy i jeszcze wyręczyć drugiego. Docenili to od pierwszego dnia, rozumiejąc, że on w ten sposób chce zasłużyć sobie na to, by wejść do zespołu. I nie mylili się, on rzeczywiście chciał w ten sposób zdobyć ich koleżeństwo, ich przyjaźń. Ale oni też byli lojalni i solidarni, nie pozwolili mu się zameczyć. Szytgar, który cichaczem obserwował go z daleka, podszedł i powiedział: „Nie podobna mi się taka robota, pracujesz tak, jakbyś już nigdy więcej nie miał przyjść do kopalni, tak pracuj, żeby ci na jutro też starczyło życia, robić trzeba codziennie, a nie tylko dzisiaj”.

Powiodło mu się w tej kopalni, choć wracał do swojego pokoju zbołały i rozbity od zmęczenia, rzucał się na łóżko i momentalnie zasypiał jak zabity, nawet sny o domu rodzinnym gdzieś się zawieruszyły, zgubiły się gdzieś, noce były niewiarygodnie krótkie, świat budził do pracy. Walczył jak lew o to, by zasłużyć na uznanie. Zarabiał więcej niż się tego mógł spodziewać wyjeżdżając z domu. Pomijając tęsknotę i lekkie wyrzuty sumienia wobec matki, był szczęśliwy. Pierwszy zarobek wysłał matce nieomal w całości, sobie pozostawił grosze, w ciągu miesiąca ratował się drobnymi pożywkami u kolegów. Chciał, by ten pierwszy przekaz pieniężny dla matki wypadł imponująco, to mu przyniosło wielką ulgę, cieszył się, wyobrażał sobie jej radość, radość i dumę.

Po trzech miesiącach zapisał się na wieczorowy kurs dla dorosłych. Przygotowywał się do matury w skróconym terminie, pracował dużo i radośnie, z zapałem wprost szaleńczy. Marzył mu się studia powroty do domu triumfalne, do Pięknej — wszystko było w zasięgu ramienia, w zasięgu silnej woli.

I tylko niekiedy, myśląc o matce, zaczynał tęsknić do Pięknej i wówczas coś ścisnęło go za gardło. Był do urlopu — obiecywał sobie — potem pojedzie i sprawdzi ją do siebie... Siadał do stołu i pisał: „Moja droga, kochana mamo...”



W łańcuckim zamku

Niebezpieczeństwo feminizacji

(Ciąg dalszy ze str. 3)

cja nauczycielstwa nadal się pogłębia. Czy z tego tytułu mamy mieć pretensje do poszczególnych nauczycieli? Nie wyobrażam sobie mężczyzny w roli wychowawcy w przedszkolu. Korczaków też jest nader mało i dlatego w niższych klasach szkoły podstawowej kobiety, zwłaszcza już będące matkami, są jako nauczycielki i wychowawczynie wręcz niezastąpione. Ale jakże często w szkole są same kobiety. Pomijam tu atmosferę pracy, chodzi mi o jej wyniki. Mamy już dość bogatą literaturę udowadniającą ponad wszelką wątpliwość, że niezbędne są dla młodzieży męskie wzory wychowawcze, stąd w każdej szkole powinni być także mężczyźni, zwłaszcza do przedmiotów „męskich”. Wprawdzie teoretycy nie są jednomyślni, ale praktyka zmierza do umocnienia koedukacyjnego systemu szkolnictwa, co wychowawczo jest chyba korzystniejsze; w warunkach koedukacji nauczyciel — mężczyzna jest tym bardziej potrzebny.

Zagadnienie męskich wzorów wychowawczych jest szczególnie aktualne i dlatego, że feminizuje się nie tylko nauczycielstwo, ale cały system wychowawczy, zarówno poza domem (placówki wychowania pozaszkolnego oraz instytucje kulturalne i oświatowe), jak i w domu, bo ciężar wychowania dzieci spada głównie na matkę, a jeśli ona pracuje, dziećmi zajmuje się babcia, teściowa, niania, które jakże często nadmierne je rozpieszczają... I to wszystko jest chyba jedną z istotnych przyczyn kłopotów z młodym pokoleniem.

Wracając do sprawy sfeminizowania szkolnictwa warto jeszcze zwrócić uwagę na, moim zdaniem,

paradoksalną sytuację: młodzież uczy nauczycielki, a szkołami i szkolnictwem kierują prawie wyłącznie mężczyźni, a na domiar, im wyższy szczebel władz Związku Nauczycielstwa Polskiego tym mniej w zarządach Związku, kobiet, zwłaszcza młodych, które w szkolnictwie przeważają. Skąpiecie kobietom stanowisk kierowniczych w szkolnictwie można przypisywać polityce kadrowej mężczyzny — kuratorów, inspektorów, naczelników i wizytatorów, ale władze związkowe pochodzą przecież z wyboru. Nasuwa się tu pytanie, czy wykształcenie kobiet pozostaje w proporcjonalnym związku z ich aktywnością społeczną? Statystyka, zwłaszcza wydana ostatnio nowa publikacja GUS-u — „Kobieta w Polsce”, dostarcza na ten temat wiele ciekawych danych, ale osobiście odpowiem na wyżej postawione pytanie szukałbym w sytuacji kobiety pracującej, która jak to napisała pewna autorka (z reguły na te tematy wypowiadają się kobiety), zazwyczaj pracuje na dwóch etatach: w instytucji lub przedsiębiorstwie oraz w domu.

I temat ten można by właściwie kontynuować w nieskończoność, wysuwając różne aspekty zagadnienia, gdyż dotyczy on paromilionowej rzeszy pracownic, wybitnie zróżnicowanych pod względem wieku, sytuacji rodzinnej, kwalifikacji i motywów, którymi kierowały się podejmując pracę zawodową. Dlatego warto dyskutować nie o kobietach w ogóle pracujących, lecz o pewnych grupach pracownic, co pozwoli bliżej poznać zagadnienie, zwłaszcza jeśli chodzi o społeczne skutki feminizacji poszczególnych zawodów.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Utwory Gorkiego w Polsce

MOSKWA. W czerwcowym numerze miesięcznika „Inostrannaja Literatura” ukazała się obszerna informacja na temat polskich przekładów dzieł Maksyma Gorkiego. Interesujące są zwłaszcza dane, dotyczące pierwszych tłumaczeń jego utworów w naszym kraju. „Czytelnik polski — czytamy w artykule — zaznajomił się z utworami Gorkiego w początkach bieżącego stulecia. W latach 1903—1905 ukazały się w przekładzie na język polski „Opowiadania Maksyma Gorkiego”, a także

„Foma Gordiejew”. W prasie robotniczej ukazały się wówczas „Pieśń o sokole” i „Pieśń o zwiastunie burzy”. Powieść „Matka” wydana została w Polsce po raz pierwszy w roku 1929 w przekładzie Marceliego Tarnowskiego. Od tego czasu osiągnęła ona 11 wydań. Pierwszą sztukę Gorkiego wystawił Teatr Miejski w Krakowie również w początkach naszego stulecia. Byli to „Mieszczanie”. W Polsce Ludowej dzieła Gorkiego osiągnęły łączny nakład 2 300 tysięcy egzemplarzy.

Pisarze na spotkaniach w zakładach pracy

W Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Warszawie dokonano oceny spotkań z pisarzami, jakie odbyły się w zakładach pracy i placówkach kulturalno-oświatowych stolicy i województwa z okazji tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy. W ciągu maja i dwóch tygodni czerwca warszawskie związki zawodowe zorganizowały dla załóg ponad 100 spotkań z literatami w zakładach przemysłowych, PGR, hotelach robotniczych i zakładowych domach kultury na terenie Warszawy i województwa. Można tu przykładowo wymienić nazwiska Jana Dobraczyńskiego, Andrzeja Brychta, Ewy Szelburg-Zarembiny, Moniki Warneńskiej, Mieczysława Lepeckiego, Magdy Lei, Marii Szyrowskiej, Zbigniewa Mitznera, Henryka Gaworskiego.

Spotkania te były niezwykle udane. Dopisała frekwencja — ogółem uczestniczyło w nich ponad 20 tys. osób, w tym większość młodzieży. Do najciekawszych należały spotkania z Janem Gerhardem w Polskich Zakładach Optycznych, z Henrykiem Gaworskim w hucie „Warszawa”, z Marią Szyrowską w państwowych gospodarstwach rolnych woj. warszawskiego, z Danutą Bieńkowską w hotelach robotniczych pracowników budownictwa.

Czytelnicy zadawali pytania dotyczące interpretacji utworów, warsztatu artystycznego, planów twórczych, gustów literackich i trybu życia pisarzy. Interesowano się także zagadnieniami sytuacji wewnętrznej i polityki międzynarodowej naszego kraju, aktualnymi wydarzeniami w świecie. Wiele pytań podyktowały niedawne wydarzenia w środowisku literackim stolicy, zwracano się

do pisarzy o wyjaśnienie genezy tych zjawisk.

Z pytań zadawanych pisarzom i poziomowi dyskusji wynika, że na spotkania przychodzi coraz więcej osób przygotowanych. Duża w tym zasługa organizatorów: ogniw związkowych, placówek kulturalnych i bibliotek zakładowych, które przed spotkaniami popularyzują sylwetki pisarzy przez radiowęzły zakładowe, organizują wystawy i sprzedaż książek.

Zainteresowanie załóg zakładów pracy spotkaniami autorskimi dzielą sami pisarze. Propozycję WKZZ kontynuowania tej akcji przyjęło ponad 200 warszawskich literatów. Do listopada br. odbędzie się zatem co najmniej 200 nowych spotkań.

Wzajemnemu zbliżeniu posłużą też z pewnością przygotowywane obecnie „sympozja” na tematy związane z życiem i pracą robotników, ich aspiracjami i sprawami powszednimi, stosunkami między ludźmi w zakładach pracy. Sympozja takie odbędą się jesienią w warszawskich zakładach pracy z udziałem pisarzy, którym organizacje związkowe ułatwią uprzednio wizyty w zakładach i nawiązanie kontaktów z pracownikami.

Warto też wspomnieć o finalizującym się obecnie zamierzeniu zw. zawodowych utworzenia w stolicy „Uniwersytetu kultury w środowisku robotniczym”, którego wykładami będą pisarze i dziennikarze. Słuchaczami uniwersytetu będą pracownicy zakładów warszawskich, interesujący się kierunkami współczesnej literatury polskiej i światowej oraz polityką kulturalną w naszym kraju. (Kt—PAP)

30 szalonych minut DTV

W zamierzonych czasach, w przedtelewizyjnej epoce, kiedy nagłówki „z ostatniej chwili” oznaczały na szpaltach czasem wiadomość sprzed... kilkunastu godzin, gazeta mogła się ukazać na miesiąc nawet z parogodzinnym opóźnieniem. Ludzie wrzucali ramionami, przywykli. Wiadomo — mówili się — znów im w drukarni coś nawaliło”.

Dziś, kiedy trzy czwarte dorosłej Polski zasiada co wieczór przy telewizorach, plansza i sygnał Dziennika Telewizyjnego pojawiają się na monitorach o godz. 19.30 — punktualnie co do sekundy. Przyczyna tej, nieczęstej, nawiasem mówiąc, enoty w programach PTV wynika tyłu z dyscypliny organizacyjnej redakcji polityczno-informacyjnej TV, co i z poczucia odpowiedzialności przed 11—13-milionowym teleaudytorium, oczekującym na wiadomości na prawdę „z ostatniej chwili”. Nawet dwuminutowe opóźnienia w nadawaniu DTV powodowały natychmiastową lawinę telefonów z histerycznie niespokojnymi zapytaniami: „Na miłość boską, co się stało?”. Dodajmy, że przypadki takie od lat się już nie zdarzają i że po 4500 kolejnych wydaniach DTV można je zliczyć dostojnie na palcach jednej ręki.

Tak oto z troski o spokój narodu (i własny) Dziennik Telewizyjny świeci przykładem punktualności i dobrej organizacji pracy innym programom PTV.

W TEJ SAMEJ CHWILI

Dokładnie o godz. 19.30 mały ekran staje się dla nas centrum powiazań z całym światem. Potok informacji — ilustrowanej w 75 proc. obrazem — z którym w zakresie atrakcyjności i sugestyjności oddziaływania nie może konkurować żaden inny środek masowego przekazu, wprowadza nas w samo jądro teraźniejszości i aktualnych wydarzeń.

50 kartek depezy i wiadomości z kraju i ze świata to spora broszura. „Polykam” ją w ciągu pół godziny, nie ruszając się z miejsca, niemal bez wysiłku, jeśli... pominiemy wysiłek świadomego odbioru obrazu świata ukazującego się nam w szczylinie telewizora. I wysiłek uświadomienia sobie chaosu problemów i konfliktów rozdziera-

jących naszą epokę, w której pokój wciąż miesza się z wojną, postęp z zacofaniem, bohaterstwo z bestialstwem, rozsądek z obłędem.

A jeśli nie jest to łatwe dla nas, to z pewnością nie jest i łatwe dla 6-osobowej ekipy redakcyjnej codziennego wydania DTV, która rozpoczyna swą pracę o 6.00 i kończy o 24.00. Zmuszona jest do wyboru z lawiny depezy, korespondencji, wiadomości napływających z kraju i ze świata zaledwie ich części. Tych n a j w a z n i e j s z y c h. Czas emisji programów przestrzegany jest bardzo rygorystycznie.

...szybocze nad Leszmem i bomby nad Wietnamem. Samotny żeglarz — romantyk Teliga optywający świat ku chwale Polski i proces szpiegów w Gdyni, zdradźców polskiej bandery. Kwitnące sady sandomierskie i głód w Indiach. Debata w ONZ, los przeszczepionego serca dr Blaiberga i strzały w Roberta Kennedy'ego. Marsz murzyńskiej biedoty na Waszyngton i zobowiązania na cześć V Zjazdu PZPR. Bunt Paryża i śpiewki z Opoła, rozruch turbiny w Solinie i...

Trudna to mozaika. 40 proc. materiału w niej dostarcza redakcja zagraniczna DTV, 50 proc. — krajowa, reszta — sportowa i redakcje lokalne. Materiały spływają sukcesywnie do trzech kolejnych edycji codziennego wydania DTV (godz. 16.55 — 19.30 oraz ostatnich wiadomości pomiędzy 22.00 — 24.00).

Niekiedy porządek wywraca się do góry nogami, bo okazuje się np., że można przejąć nagłe z drugiego kontynentu za pośrednictwem „Telstara” migawkę filmową „z ostatniej chwili”. Właśnie dla takich nieprzewidywanych sytuacji na stole prezentera (spikera) znajduje się telefon, aby kierujący edycją dyżurny redaktor mógł w porę go powiadomić, zmieniając nieoczekiwanie program. Takie sytuacje stanowią dla prowadzącej dziennik ekipy zarówno „trzęsienie ziemi”, jak i — ostrogę zawodowej satysfakcji. A dla nas... jakże cenną możliwość uczestniczenia w tej samej chwili w wydarzeniach dziejących się gdzieś o setki tysięcy kilometrów dalej.

Dydaktyka aktualności

Wszyscy wiemy, jak to wygląda „w telewizji”, kiedy na-

walają łąca, „wysiada” wizja lub fonia i kiedy nas trafia szlag. Co trafia wówczas redakcyjną ekipę dziennika, której trud, aby nadać jakąś ciekawą wiadomość na antenę, idzie wtedy na marne — lepiej nie mówić. Przecież zaledwie trzecia część programu DTV, w tym takie pozycje, jak Kronika „Wzdłuż i wszerz kraju”, „Zielone światło”, „Gdzieś w Polsce”, przygotowywana jest nieco wcześniej. Resztę, tzn. 65 proc. serwisu tekstowo-filmowego, robi się „na gorąco”, tego samego dnia.

Ta troska o aktualność redakcji DTV jest ważnym czynnikiem dydaktycznym. Śledząc falę najświeższych wydarzeń, pogłębiamy z dnia na dzień ostrość naszego spojrzenia i orientację w problemach epoki.

Zapewne. Historycy rozróżnią kiedyś i ocenią, jakie procesy społeczne, wydarzenia i fakty w drugiej połowie XX w. miały decydujący wpływ na bieg historii. Ale... cóż nam po tych ocenach przyszłości, skoro losy jej zależeć będą przede wszystkim od naszego świadomego działania teraz, dziś i jutro. A czy można działać prawidłowo i skutecznie bez należytej orientacji?

Historycy zapomną być może również o takich „drobnych szczegółach” dziejów, jak widok jakiejś spalonej przez nieostrożność zagrody, zaniedbana przystań turystyczna, lekkomyślna śmierć dziecka w nurtach rzeki, mordercze eskapady piratów za kierownicą, partacka budowa nowej szkoły. Ale dla nas to nie są drobiazgi, bo z nich składa się nasze życie. Historycy zapomną być może nawet i o tym bezimiennym partyzancie wietnamskim, który w naszych oczach zagradza teraz własnym ciałem drogę nacierającym czołgom agresora, i o tym dziecku jordańskim wygnanym z własnego domostwa na nędzę, głód i poniewierkę. Ale nam zaopominieć o tym nie wolno. W imię szacunku człowieka do człowieka. I szacunku do siebie.

W tak utrwalonym zespole naszych poglądów, wiedzy i orientacji o czasie i świecie, w którym żyjemy, będzie też pewna część zasług Dziennika Telewizyjnego.

STEFAN HENEL

Korespondencje

O krajanie - generale Władysławie Sikorskim



Władysław Sikorski jako uczeń VII klasy gimnazjalnej w Rzeszowie. Według fotografii ofiarowanej swemu przyjacielowi Adamowi Kowalskiemu, późniejszemu nauczycielowi w Rzeszowie.

Ostatnio o generale Sikorskim głośno jest w Polsce. I to nie tylko z okazji jego tragicznej śmierci w Gibraltarze przed 25 laty, ile ze względu na rolę, jaką odegrał w ostatniej wojnie. Ale na ten temat teraz tyle się pisze, że nie byłoby sensu powtarzać tego któryś raz z rzędu. Chciałbym tylko przypomnieć, że Sikorski był synem naszych, to jest rzeszowskich stron i dlatego też pozwolilem sobie nazwać go krajanem.

wrowski a pochodził z Litwy. Miał córkę, która w tymże samym dworze - własności Pilińskich była tzw. „szafarką”, czyli zarządczynią domu. Kiedy jedna z Pilińskich wyszła za mąż, za Władysława Jędrzejowicza do Hyżnego, panna Chawrowska tutaj również się przeniosła. Miała córkę Emilię, urodzoną w roku 1851. Ta wyszła za mąż za Sikorskiego, organistę w Hyżnem. Wiadomo, organisci wiejscy wcale nie pochodzili z arystokracji czy szlachty, byli najczęściej synami organistów względnie przy organistach poduczni, zazwyczaj wiejskimi chłopcami, tylko że muzykalnymi. Po pewnym czasie składali odpowiednie egzaminy, w naszym wypadku w Przemyślu.

Sikorski, już jako człowiek żonaty, skończył kilkulatnie seminarium nauczycielskie i został nauczycielem szkół ludowych, dokładnie w Padwi Narodowej w pow. Mielec. Był to już znaczny awans społeczny. Tam też w r. 1881 urodził się syn Władysław. Świadczy o tym tablica, umieszczona na tzw. domu gminnym w Padwi.

Władysława już z IV klasy i zapisał go do seminarium nauczycielskiego. Niewątpliwie z myślą, że już po kilku latach skończy je i pójdzie na własny chleb.

W seminarium na Władysława zwrócił uwagę ówczesny dyrektor, chłopak bowiem wybił się zdolnościami. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że z chłopaka może coś być, nie tylko że z powrotem oddał go do gimnazjum - sąsiadującego z budynkiem seminarium - ale Władysława zaadoptował, jednak nie zmieniając mu nazwiska. Zdolny uczeń w r. 1902 złożył maturę i wstąpił na politechnikę we Lwowie. Tam skończył - z dyplomem inżyniera - wydział wodny. W czasie studiów poznał Piłsudskiego. Dalsze dzieje są już dobrze znane.

Dzieje rodzzeństwa W. Sikorskiego nie były wesołe. Matka Emilia mieszkała w Hyżnem do roku 1918, po czym przeniosła się do Krakowa, prawdopodobnie do córki. Tam też umarła. A brat Stanisław był w Hyżnem gorzelnikiem dworskim.

Na zakończenie trzeba podkreślić; generał Władysław Sikorski był dzieckiem ludu, co niewątpliwie musiało się odbić na jego postawie, kiedy stał się tzw. „Sługą”.

FRANCISZEK KOTULA

P. S. Szereg szczegółów, powyżej zamieszczonych, uzyskałem od Marii Jędrzejowicz, bratanicy Władysława.



Wchodzimy w to gorące lato zmęczeni wszystkim co było - pełni oczekiwań, że gdzieś w gorach wdepniemy na uraty szlak, że w starej leśniczówce zakwitły dla nas dziewanny - kwiaty pełne urody i dostojności, które są symbolem letniej odmiany, że morze może nie będzie zimne i powtórzy się ciąg lat stulecia. Skracamy to czekanie na letnie cuda otwieraniem telewizora i bawią nas już tyłki Hitchcock, Zorro oraz d'Artagnan; reszta, choćby najlepsza, umyka naszej uwagi, wyostrożonej na jedno tylko magiczne słowo - wyjazd.

Zle jest słuchać Dylawerskiego, kiedy nawet w mieście zabiją gadają nocami, balkony uginają się od kwiatów i pachnie słodko maciejka, a szybkie świty spadają na nas krzykiem pfaków. Toteż ostatni już raz wlamuję się w zbiorowe marzenia o lecie przemęczonych telewizorów, sama już jedną nogą w kazimierzowskich wzgórzach, wąwozach, rutnach, renesansowych cudach i ostatnią pochwałę przedwakacyjną oddaję właśnie Światowidowi Dylawerskiego, co prawda nie dla autora, lecz zaproszonego gościa, którym w ostatnią środę był Zygmunt Broniarek. Bywa on zresztą zapraszany dość często i zawsze ma do powiedzenia rzeczy godne publicznej prezentacji; jednak ostatnia jego opowieść o książce Alaina Guerin „General gris” czyli „Szary generał” - książce zapewne rewelacyjnej na francuskim rynku wydawniczym - to była nie tylko sztuka recenzowania, ale sztuka mówienia o polityce. Broniarek na kanwie działalności szarego generała, czyli szefa wywiadu - Gellena, zaimprovizował wielki esej polityczny, przypominający katejaoskop; szperał w pamięci nadawanej bogactwem faktów i wyłaniał z niej te, które w jakiś sposób wiążą się pośrednio z ponurą sylwetką szarego generała, porządkował te fakty, eksplikował, czyniąc z politycznych ponurę niemal opowiadanie kryminalno - sensacyjne. Była w tej opowieści erudycja dziennikarza, komentatora, znawcy.

Okres ogórków i kanikuły sygnalizują doroczne rajdy repor-

terskie po terenach nie objętych siecią własnych ośrodków programowych. W tym roku poszczęściło się woj. opolskiemu. Poszczęściło - bo dostajemy programy sensu strictly publicystyczne, preparowane z nerwem i wchem dziennikarskim oraz usiłujące powiedzieć o regionie jak najwięcej. Piękny, niepowtarzalny odcinek poświęcony 75 urodzinom Wawrzyńca Mactury, bohatera powieści Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie”, na kanwie uroczystości obejmującej bez mała całą niezwykłą wieś Lubrzę, był pretekstem do pokazania właśnie jej niezwykłości; solidarności pierwszych osadników, ich świetnego gospodarowania i wysokiego standardu życiowego.

Opolskie ma szczęście, bowiem podobne rajdy po Kieleckiem i Rzeszowskiem ani w części nie były tak sprawne reportersko, ani w połowie nie przyniosły takie go bogactwa materiału, przy tym tak znakomicie zareklamowanego. Dodać więc wypada, że szkoda to wielka, że Rzeszowskie już było objęte podobnym rajdem, tym bardziej szkoda, że coraz mniej go na szklanym ekranie, coraz widoczniej marginesowe problemy naszego regionu się pojawiają w telewizji. Gdyby rzecz przyszło bilansować w ostatnim okresie - to na dobrą sprawę, są to sporadyczne informacje bądź w Dzienniku, bądź w Kronice Krakowskiej, reportażyk - efemeryda w „Pejzażach” i comiesięczna „Panorama Rzeszowska”. Ta ostatnia, prowadzona sposobem magazynowym, prezentuje co najwyżej ciekawych ludzi kosztownego problemu. W czerwcowej, w której spodziewaliśmy się relacji z trzech największych imprez dorocznych Rzeszowa - Dni Muzyki Kameralnej, Spotkań Teatralnych i Konkursu Recytatorskiego lub bodaj wzmianki o Dniach Rzeszowa - laurowo i ciemno było na najważniejsze dla miasta tematy. Do głębokiej zgola historii należy również problematyka związana z ekonomiką województwa, z jego dynamicznym rozwojem. Przeto, ponarzekawszy, raz jeszcze zażdrościć wypada Opolu tej szanowej prezentacji na skalę ogólnopolską, podanej fachowo przez najlepszych reporterów warszawskiego ośrodka TV.

A także tylko pożegnać mi wypada miłych Czytelników i życzyć im lata bukolicznego oraz globtroterskiego odkrywania urody świata - jedynej wartości, jaka się liczy w dwóch wakacyjnych miesiącach.

KRYSTYNA

Operetka bydgoska w Rzeszowskiem

Artyści Opery i Operetki bydgoskiej 27 bm. rozpoczynają występ w województwie rzeszowskim, gdzie w wielu miastach wystawią „Cnotliwą Zuzannę” operetkę Jeana Gilberta w 3 aktach. Reżyseria: Zofia Weissówna. Kier. muzyczne: Zdzisław Bytnar. Choreografia: Rajmund Sobiesiak. Scenografia: Antoni Muszyński. Organizatorem jest Koszaliński Towarzystwo Muzyczne.

Wakacyjny program nauczania

Nadeszły wakacje: wczas, kolonie, urlopy... Uczniowie i nauczyciele przerwali naukę, a i rodzice zajęli w tych sprawach postawę na „spocznij”. Niestety, nie wszyscy. Są gorliwi, którzy i w czasie wakacji zapędzają dzieci do książki, zwłaszcza, jeśli ostatnio otrzymały gorsze stopnie. Oczywiście, poprawkowiec muszą się uczyć, nie ma rady. Ale ostatecznie wakacje są wakacjami i nie należy wywracać porządku rzeczy. Trzeba o tym pamiętać szczególnie w wychowaniu, bo tutaj skutki przychodzą z dużym opóźnieniem, a mogą być opłakane.

Istnieje ogólna opinia, że najlepiej pomagają dziecku w nauce ci rodzice, którzy zwołniają je z wszelkich obowiązków i zajęć, a zapędzają i zmuszają do nauki. Uważam, że jest to działanie typowo przeciwskuteczne, czyli wiódące do tego, czego się najbardziej nie chce: do obrzydzenia dzieciom nauki i do zabicia w nich zdolności. Nie mamy zamiaru zachęcać rodziców, aby się nauką swoich dzieci nie interesowali. Ale bardzo dobrze jest, jeśli nauka jest wyłącznie sprawą mamusi i tatuśka, nie zaś synalka czy córunki. Wiejskie warunki uczących się dzieci wiele pozostawiają do życzenia, ale jedno można im pozyczyć na plus: dzieci na wsi wię-

cej niż w mieście wdrażane są do pracy i karności, a mniej są zmuszane do nauki i czytania. Daje to podwójną korzyść: z jednej strony wyrabia hart i odporność na trudności i przeszkody, rozwija zamiłowanie do pracy i obowiązkowość, zaś z drugiej strony nie uśmierca w dziecku inicjatywę i zapału do nauki, lecz przeciwnie, czyni ją najbardziej osobistym i najprzyjemniejszym zajęciem. Pełz to niezapomnianych wrażeń daty niejednym dziewczętom i chłopcom książki czytane ukradkiem wśród domowych zajęć lub nocą! Oczywiście, dzieci mniej zdolne zdane na własne siły mogą na tym wiele stracić, ale za to dzieci zdolniejsze zyskują znacznie więcej. Tym się tłumaczy lepsze postępy młodzieży pochodzenia chłopskiego i robotniczego na wyższych uczelniach.

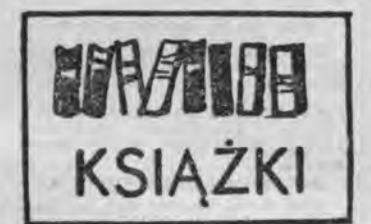
Wydaje się, że gdyby te fakty zostały lepiej zbadane i wykorzystane w procesie wychowawco-dydaktycznym, mniej byłoby wątpliwych eksperymentów i pomyłek we współczesnej pedagogice.

Nie możemy czekać, aż naukowcy „rozgrzyzą” te problemy i spopularyzują wyniki swych dociekań. Trzeba już teraz wyciągać wnioski z tych prostych na ogół faktów i stosować je w wychowaniu naszych dzieci. A więc jeśli

chcemy, aby uczyły się one chętnie i z zamiłowaniem, uczynmy naukę i czytanie ich własnym, przyjemnym zajęciem. Uczmy je karności i pilności zmuszając do różnorodnych prac, do planowania dnia i organizowania swych czynności, ale o ile tylko można nie zmuszamy ich do nauki i lektury. W tym zakresie więcej zdziała sprytne podsuniecie odpowiedniej książki, przyjacielska rozmowa i zachęta. Wdrażanie do pracy i pilności, odsianianie przed dziećmi i młodzieżą świata zajęć naprawdę przykrych i trudnych - oto właściwy wakacyjny program nauczania. Tylko pełne zrealizowanie tego programu może sprawić, że nauka stanie się zajęciem przyjemnym i łatwym i że naszych dzieci nie załamują pierwsze trudności i przeszkody. Oczywiście, program „nauczania” musi być wmontowany w o wiele obszerniejszy program wakacyjnych rozrywek i wywczasów.

Pamiętajmy: brak wiadomości u młodzieży wrażliwej w istniejącej powodzi informacji pływającej tyłoma kanałami ma za swą główną przyczynę brak chęci do nauki. U ambitnych dzieci najbardziej niszczy te chęci - brutalny przymus.

STANISŁAW CIENIAWA



Janusz Głowacki: WIRÓWKA NON-SENSU. PIW, s. 127, cena zł 12. Debiut książkowy młodego dziennikarza i pisarza, którego reportaże i opowiadania ukazywały się na łamach „Kultury” i innych tygodników. Książka zawiera 7 krótkich opowiadań o ludzkich przeżyciach i sprawach. Sverre Holmsen: POLINEZYJSKI PASAT. Tłum. W. Nowicki. Iskry, s. 210, cena zł 12. Wyd. II. Ciekawa opowieść z serii „Naokoło Świata”. Autor opisuje tu doświadczenia ze swej wioletnej włości na Wyspach Polinezyjskich, po szlakach mórz południowych. Obrazy polowu perel, okretowych katastrof, opisy barwnych scen obyczajowego życia krajowców. Aleksander Grin: SZKAPŁATNE ZAGLE. Iskry, s. 283, cena zł 17. Pisarz rosyjski polskiego pochodzenia - to autor tej i szeregu in-

nych powieści dla młodzieży. Jest to proza fantastyczna, przedstawiająca świat pełen śmiałych ludzi, krainę pełną fantastycznej roślinności, stwarzającą bohaterom okazje do niezwykłych i licznych przygód.

Feliks Fornalczyk: PRZYPISANI TEJ ZIEMI. Wyd. Poznańskie, s. 314, cena zł 20.

Są to szkice o prozie współczesnych pisarzy polskich: niezjącego Stanisława Piętaka, żyjących i tworzących Tadeusza Nowaka, Juliana Kawałca i Ernesta Brylla. Wszystkich pisarzy łączy temat wiejski. Karykatury pisarzy wykonał S. Mrowiński.

Józef Grabowicz: POZEGNANIE Z ZASCIANKIEM. KIW, s. 281, cena zł 16.

Dziennikarz kieruje działem w redakcji „Nowej Wsi”. Wydał już kilka tomów reportaży. Omawiany zawiera dziełnicę utworów łączących w sobie elementy „kryminałki” z obyczajami. Chwycony na gorąco kawałek życia, głównie wiejskiego.

Karol Koźmiński: BOHATE DWÓCH KONTYNETÓW. Iskry, s. 320, cena zł 25. Ilustr. T. Bogdański.

Jest to powieść historyczna, której bohaterem jest Kazimierz Pułaski. Zaczyna się w kraju, w czasie ostatnich lat Rzeczypospolitej szlacheckiej, a więc za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Kończy się przygodami bohatera w Ameryce, gdzie Pułaski walczył o „wolność Waszą i naszą” i poległ śmiercią żoł-

niera w bitwie pod Savannah. Nadaje się dla młodzieży.

Stanisław Sześciński: MARIA KALERGIS. PIW, s. 594, cena zł 50. Wyd. III. Liczne ilustracje.

Jest to uzupełnienie, trzecie z kolei, wydanie monografii jednej z bardziej znanych w XIX wieku kobiet. Znanej głównie przez swoje kontakty z pisarzami. Główna jest legenda o nieszczęśliwej miłości, jaką palił do Marii Kalergis poeta Cyprian Norwid. Występuje szereg znakomych osób. To epoki. Prawie połowę książki zajmują aneksy, przypisy, bibliografia, indeksy.

Guy Robert: EMIL ZOLA. Ogólne zasady i cechy jego twórczości. Przel. I. Wachlowska. Postulicy: H. Suwała. PIW, s. 256, cena zł 25.

Małe, bibliograficzne wydanie monografii znakomitego francuskiego pisarza, autora nie tylko „Nany”, ale przede wszystkim „Germinał”. Twórcę naturalizmu pokazuje autor w sposób nowy, rehabilitujący pisarza w oczach Francuzów, którzy nie darzyli zbytnią estymą twórcy cyklu o Rougon-Macquartach.

Michał Głowiński: PORZĄD CHAOS. ZNACZENIE. PIW, s. 256, cena zł 15.

Również w małym nakładzie szkice o powieści współczesnej. Zajmuje się więc autor teoretycznymi problemami, metodologią powieści, jej socjologią. Potem bardziej szczegółowo utworami Żeromskiego, Jaworskiego, Nalkowskiej, Brzy.

Cyprian Norwid: MINIATURY DRAMATYCZNE. Oprac. i wstępem opatrzył Juliusz W. Gomulicki. PIW, s. 196, cena zł 18.

Na osiemdziesiątą piątą rocznicę zgonu poety staranne wydanie p. dramatycznych. Bo „Któryż z poetów lirycznych nie marzył o napisaniu dramatu?” - pyta retorycznie w wstępie J. Gomulicki. Norwid napisał „Pierścień wielkiej damy”, dramat romantyczny.

Halina Popławska: CIEN DŁUŻSZEGO RAMIENIA. Iskry, s. 237, cena zł 16.

Debiut powieściopisarski tłumaczki literatury francuskiej. Jest to powieść z życia ksiązek, bibliotek i bibliotekarzy. Autorka, jako były naukowej pracownik Biblioteki Narodowej zna dobrze te zagadnienia.

Eugeniusz Wasilewski: POWROTNE SZLAKI. Wyd. Poznańskie, s. 190, cena zł 24.

Zbiór kilkunastu krótkich wspomnień z podróży po liniach dalekomorskich kapitana żeglugi wiejskiej. Gawędziarskie, lekkie, ciekawe. Ilustracje.

Tadeusz Czajka: ZIELONE KRĘGI. Wyd. Lubelskie, s. 195, cena zł 12. Lubelski literat jest autorem „Czerwonych punktów” - wspomnień obozowych z Majdanka. „Zielone kręgi” przedstawiają dalsze losy bohaterów - uczestników udanej ucieczki z obozu. Bogaty materiał faktograficzny, interesująco podany.

NA NASZYM EKRANIE

Ach, te wspaniałe maszyny... i ci latający mężczyźni

W końcu tego roku obchodzić będziemy 65 rocznicę wydarzenia, które zapoczątkowało epokę unoszenia się człowieka w przestworza. 17 grudnia 1903 roku w miejscowości Kill Devil, cztery mile na południe od Kitty Hawk, konstruktor Orville Wright w maszynie cięższej od powietrza i napędzanej energią mechaniczną unosił się na wysokości 120 stóp i utrzymał w locie przez 12 sekund. Tego samego dnia brat nowożytnego Icara Wilbur Wright wzniósł się jeszcze wyżej, bo na 852 stopy i utrzymał się w powietrzu 59 sekund.

Odtąd ludzkość dostata bżka na punkcie latania. W wielu krajach konstruowano

się do powstania zdjęć powietrznych należą się gratulacje. To był majsterszyk, powstał istny latający cyrk wprawiający nas raz po raz w zdumienie i zachwyt. „Wspaniałe maszyny” — tak powinno brzmieć w tytule, bo mężczyźni są tylko dodatkami do tych aeroplanów (tak się kiedyś nazywało samoloty), a choć rzeczywiście latają, to więcej mamy z nimi do czynienia na ziemi, gdzie są tylko zabawni.

Bo reżyser połączył pokaz starych samolotów z próbą komedii w starym, amerykańskim stylu, starając się wykpić swoich bohaterów na ile to tylko było możliwe. Nie sądzę, że się wysilił, ograniczając stronę komiczną filmu



dziwaczne maszyny latające, coraz to nowi smarkowci próbowali wznosić się wyżej i lecieć dłużej niż ich poprzednicy. W roku 1910 Amerykanin Glen H. Curtiss wypręł na 10 000 dolarów za przelot na trasie Albany — Nowy Jork, inny zaś lotnik zdobył podobną sumę za pierwsze miejsce w przelocie przez kanał La Manche na trasie Londyn — Paryż, zorganizowany przez angielski dziennik „Daily Mail”.

To ostatnie wydarzenie posłużyło reżyserowi Kenowi Annakinowi za kanwę do filmu o rekordowej długości tytułu: „Ci wspaniali mężczyźni w swoich latających maszynach”, który w oryginalnej wersji jest jeszcze dłuższy, bo brzmi następująco: „Inose Magnificent Men in their Flying Machines or how I Flew London to Paris in 25 Hours and 11 Minutes”. Film zrealizowano w Anglii na zlecenie amerykańskiej 20th Century Fox Corp. i jest to obecnie jeden z najwspanialszych obrazów na naszych ekranach, wart obejrzenia ze względu na swoją oryginalność i... latające maszyny.

Bo konstruktorzy, specjaliści od tricków i scenografowie zrobili z tego coś fantastycznego. Jakieś niezwykłe stworzy fruwające w powietrzu, dziwaczne metalowe ptaszyska, latające etazerki, wszystko to przerosło nas w pionierski okres rozwoju lotnictwa, ukazuje jego koloryt i urodę. Bo te zabytkowe samoloty mają w sobie coś ułotającego, wspaniałego, ich powolny, majestatyczny lot budzi szacunek dla ich twórców. Karuzela, jaką tworzą w powietrzu jest kapitalna i wszystkim, którzy przyczynili

do ośmieszenia cech i przywar charakterystycznych dla typowych przedstawicieli poszczególnej naraowości. Tak więc Francuz ugania się spódniczkami i dokucza wymusztrowany Niemcom, którzy każdy dzień zaczynają od raportów, stawiania na baczność itp. Anglik jest zarozumiały i pewny siebie, Włoch gadatliwy i obciążony liczną rodziną, a Amerykanin (poludniowy) wygląda jak kowboj, który tylko co zeskoczył z konia. Te stereotypy nie pozwoliły na błysnięcie doskonałym i znanym aktorom ściągniętym zewsząd do tego filmu, a choć liczne gagi sprawiają, że śmiejemy się dość gęsto, to jest to jednak śmiech — rzekłbym — mechaniczny, zrodzony nie przez dowcip zawarty w filmie, lecz przez nieustanne dozowanie humoru sytuacyjnego. Ale to przecież w kinie na ogół bardzo lubimy.

I ten humor, latające dziwadła i kapitalne kostiumy doskonale oddające atmosferę tamtej epoki sprzed 58 lat, składają się w sumie na przyjemny, rozrywkowy obraz, który można polecić każdemu, bez względu na to, czy jest zwolennikiem „winnetou”, czy „Alphaville”. Zwłaszcza na nasze przytłoczone dusznością letnie dni, latające maszyny Annakina są znakomite.

„Ci wspaniali mężczyźni w swych latających maszynach”. Scenariusz: Jack Davies, Ken Annakin. Reż.: Ken Annakin. Zdjęcia: Christopher Challis. Scenografia: Tom Morahan. Kostiumy: Osbert Lancaster, Dinah Greet. Grają: Stuart Whitman, James Fox, Robert Morley, Sarah Miles, Gert Froebe, Alberto Sordi, Jean Pierre Cassel, Yujiro Ishihara, Irlina Demick i inni.



ZOFIA STRZELECKA — długoletnia korektorka Wydawnictwa Prasowego „Nowiny Rzeszowskie”.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

Napiwki

Są tacy, którzy twierdzą, że bez napiwku ani rusz — inni mają opory przed wsuwaniem drugiemu paru groszy do kieszeni. Piątka za mało, dycha za dużo i nie wiadomo jak dawać? Kieszeń lewa, czy prawa? Z rączki do rączki ukradkiem, czy z wielkopańskim gestem? Z tego wszystkiego mówią — „dziękuję”, na co zdarza się im usłyszeć wielce filozoficzną odpowiedź: „za dziękuję nic nie kupi!”

Życie także tych kwestii wystarczająco nie uregulowało. Czynność dawania napiwków nie doczekała się formy czasownikowej. Obdarowywanie, wręczanie, udzielanie w zestawieniu ze słowem „napiwek” budzą skojarzenia niewłaściwe, gdyż obdarowuje się również bombonierkami i różami, wręcza odznaczenia, udziela porady. Dać można natomiast zarówno „po buzi”, jak i „w łapę”. Jedno i drugie pachnie prokuratorem. Za napiwki natomiast do „mamra” nie wsadzają, gdyż w grę wchodzi kwoty drobne, nie przynoszące szkód społecznych.

Odpowiednie wydawałoby się słowo „napiwkować” — znając naszych językoznawców-amatorów jestem pewna, że w ślad za nim pojawiłyby się „napiwko-godzinny”, „zanapiwkowanie”, „napiwko-wydajność” i „wynapiwkowanie”, bo „napiwkomania” pełni się u nas dość obficie i czasami za oficjalnym przyzwoleniem. Utarło się na przykład składanie noworocznych życzeń przez kominarzy i listonoszy, ze szpetnym kalendarzem w rękach, którym za tę szpetotę trzeba odpalić. Do dobrego tonu należą napiwki u fryzjera szczególnie w zakładach dla kobiet, gdyż w przeciwnym wypadku nasze fryzury przypominają po zabiegu zwanym „trwała” coś w rodzaju kopki siana lub sierści pudła, który ma bardzo niedbałą panią. Choć bywa także — dajemy napiwki z własnej, nieprzymuszonej woli, gdy jesteśmy sprawnie obsłużone przez kelnera lub gdy listonosz przynosi nam główną wygraną w „totka”. To jest nasza nieprzymuszona wola, mamy gest, wydajemy się sobie bogatsze, ba, może nawet lepsze!

„Napiwkobiorcy” bywają zresztą dobrymi psychologami — kelner, widząc w restauracji wielce zainteresowaną sobą parę zawsze zaczyna uprzejmie i bezskutecznie pokusiwać drobnych, w podobnej sytuacji taksówkarzowi też braknie reszty. Zakochani muszą płacić za swoje szczęście, a wręcz obdziera się ze skóry starszych panów z młodymi kobietami. Nie chcesz wyjść na skąpcą w obliczu swojej bogdanki — buł bracie! Do rachunku można dopisać wtedy datę urodzenia, numer butów delikwenta i rozmiar kołnierzyka. Każdy strzał trafi wprost w portfel klienta — wiadomo, na głuszcę poluje się w czasie to-ków.

Niesmaczna zabawa nie udaje się z małżeństwem, jako że kobieta — z natury rzeczy ciekawa — przeliczy to i owo, podsumuje i odejmie w trosce o mężowską kieszeń. Wymuszony napiwek diabli wezmą! Nie lubimy bowiem być naciągani wbrew naszej woli, uważani za głupców i naiwniaków. Nie lubimy drobnych cwaniaczków nie wydających reszty, takich, którzy mówią „jak się da, to się zrobi”, tych, którzy wyciągają w naszym kierunku rękę za spełnienie swoich obowiązków służbowych, opłacanych przecież przez nas samych lub przez instytucję, w której pracują.

Bega

ZDARZENIA TYGODNIA

W dniu 12 lipca br. przedstawiciele Zarządów Wojewódzkich ZMS i ZMW, Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, Wydziału Kultury Prez. WRN i Wojewódzkiego Domu Kultury podpisali porozumienie, przewidujące zorganizowanie we wrześniu br. wieców młodzieżowych, sztafet, sejmików kultury i czynu młodzieżowego dla uczczenia V Zjazdu PZPR i 25 rocznicy ludowego Wojska Polskiego.

Porozumienie przewiduje, że wydział kultury prezydium PRN i placówki kulturalno-oświatowe udzieli organizatorom wieców młodzieżowych pomocy programowej. Wspólnie z zarządami powiatowymi ZMS i ZMW zorganizują sejmiki kultury i czynu młodzieżowego. WDK wspólnie z zainteresowanymi instytucjami i organizacjami a zwłaszcza ZMS i ZMW przygotowuje i urządzi wielki wiec i widowisko plenerowe, poświęcone V Zjazdowi Partii. W tym też celu przeprowadzone zostaną szkolenia aktyw. M. in. w Myczkowcach będzie przygotowywane wielkie widowisko plenerowe.

Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych dokonała ostatnio kategoryzacji placówek kulturalno-oświatowych. Akcją ta była przeprowadzona w myśl wytycznych i kryteriów CRZZ. Dziś podajemy jej wyniki nie obejmujące jeszcze placówek ZW, Zaw. Pracowników Łączności, oraz Transportowców i Drogowców.

ZW. ZAW. CHEMIKÓW:

ZDK „Tapima” KIZPS w Tarnobrzegu i ZDK Zakładów Przem. Gumowego w Dębicy zostały zaszerogowane do kat. II, a ZDK Zakładów Chemicznych w Sarzynie, Krośnieńskich Hut Szkła oraz Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie do kat. III. Klub Fabryczny Zakładów Chemicznych „Gamrat” w Jasle do kat. I, Zakładów Przemysłu Gum. w Sanoku do II.

ZW. ZAW. ENERGETYKÓW:

Klub Elektrowni „Stalowa Wola”, kat. I. Międzyzakładowy Klub przy Zakł. Energ. Rzeszów, kat. II.

ZW. ZAW. GÓRNIKÓW:

Międzyzakładowy Dom Kultury Górnika Naftowca w Krośnie — kat. II, ZDK Fabryki Maszyn i Sprzętu Mierniczego w Gorlicach oraz Kopalnictwa Naftowego w Turaszówce — III, Kluby Zakładowe Rafinerii Nafty w Jasle Klub Przeds. Kop. Gazu Zielnego w Sanoku i Przeds. Kop. Naftowego w Jasle — I, natomiast kluby Rafinerii Nafty w Jedliczu, Kopalnictwa Naftowego w Ustrzykach Dolnych i Ośrodka Kopalni w Grabownicy II, kat.

ZW. ZAW. KOLEJARZY

Kluby ZZK w Rzeszowie i Jasle otrzymały kat. I, a w Przemysłu II.

ZW. ZAW. PRAC. KOMUNALNYCH

ZDK Zakł. Włók. Przemysłu Terenowego w Głogowie Młp. — Klub Gospodarki Komunalnej przy MPWiK w Rzeszowie oraz — III kat., Międzyzakładowy Klub Zjedn. Zesp. Gosp. „Inco” w Jasle — II kat.

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Kluby ZNP przy Oddziałach Powiatowych w Sanoku, Krośnie i Przemysłu zaszerogowano do kat. II.

ZW. ZAW. WŁÓKNIARZY

ZDK Fabryki Firanek w Skopaniu został zaliczony do kat. III a świetlice Zakładów Przemysłu Lniarskiego w Rakwaszowie i Zakładów Przemysłu Lniarskiego w Krośnie zostały sklasyfikowane jako kluby kat. II.

ZW. ZAW. SPOŻYWCÓW:

Świetlica Cukrowni „Przeworsk” i ZOPW w Jasle — kluby II kat.

ZW. ZAW. PRAC. LESNYCH:

Klub Fabryczny Zakładów Przem. Drzewnego w Gorlicach kat. II.

ZW. ZAW. METALOWCÓW:

ZDK WSK Mielec, kat. I, WSK Rzeszów, kat. II, ZDK Sanockiej Fabryki Autobusów — III, Kluby Fabryczne Zakładów Met. w Nowej Dębce, WSK w Gorzycach i WSK w Dębicy, kat. I a Międzyzakładowy Klub Fabryczny „Metalowiec” w Przemysłu — II.

ZW. ZAW. HUTNIKÓW:

ZDK Huty „Stalowa Wola” — kat. I.

ZW. ZAW. SŁUŻBY ZDROWIA:

Kluby Prac. Służby Zdrowia w Przemysłu i PPU w Iwonicy Zdroju kat. I, Klub Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie — II.

ZW. ZAW. HANDLU:

Klub Międzyzakładowy w Nowej Dębce, PZGS w Jasle, Klub Gastronomii w Rzeszowie — II.

ZW. ZAW. PRAC. PAŃSTWOWYCH:

Klub „Niedźwiadek” PPRN w Przemysłu kat. II.